

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII

Warszawa, dn. 18 marca 1956 r.

Nr 11 (537)

BOLESŁAW BIERUT NIE ŻYJE



KOMITET CENTRALNY PZPR, RADA PAŃSTWA I RZĄD POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ DO WSZYSTKICH LUDZI PRACY, DO NARODU POLSKIEGO

Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Rada Państwa, Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z głębokim bólem zawiadamiają cały naród — robotników, chłopów, inteligencję i młodzież naszego kraju, że w dniu 12 marca o godz. 21.30 w Moskwie zmarł po ciężkiej chorobie I Sekretarz Komitetu Centralnego PZPR towarzysz Bolesław Bierut.

Dotkliwa to strata dla polskiej klasy robotniczej, której towarzysz Bierut był niezłomnym bojownikiem, dla całego ludu pracy, którego był wiernym synem, dla narodu, o którego wolność i lepszą przyszłość walczył od lat młodzieńczych przez całe swe życie.

Młody drukarz — stanął w szeregach bojowników sprawy socjalizmu. Hartował się jako działacz PPS-Lewicy w walce z carskimi zaborcami, z niemiecko-austriackimi okupantami. Od pierwszej chwili powstania Komunistycznej Partii Polski staje pod jej sztandarem. W latach międzywojennych nie złamany prześladowaniem i wielokrotnym więzieniem, z zapalem i oddaniem organizuje robotników i chłopów pracujących, inteligencję i młodzież do walki z rządami kapitalistów i obszarników o chleb i pracę, o swobody demokratyczne, o pokój i władzę ludu. Jako działacz międzynarodowego ruchu robotniczego uczestniczy w walkach rewolucyjnych bratnich partii.

W dni najcięższych zmagania naszego narodu z hitlerowskim okupantem imię towarzysza Bieruta — „Tomasza” nierozdzielnie

wiąże się z bohaterскими dziejami Polskiej Partii Robotniczej, której był jednym z współtwórców. Towarzysz Tomasz jest organizatorem i przewodniczącym Krajowej Rady Narodowej — pierwszego demokratycznego przedstawicielstwa ludu polskiego, walczącego o wyzwolenie narodowe i społeczne.

Lata Polski Ludowej spletały się nierozdzielnie z pracą towarzysza Bieruta — Prezydenta — Prezesa Rady Ministrów — Przewodniczącego Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego — I Sekretarza KC PZPR. Towarzysz Bierut zapisał się w pamięci narodu jako niezłomny bojownik o umocnienie władzy ludowej, o granice Polski na Odrze i Nysie, o zjednoczenie ruchu robotniczego na gruncie marksizmu-leninizmu, o odbudowę kraju, o rozwój gospodarki i kultury naszej ojczyzny, o umocnienie pozycji Polski w świecie, o socjalizm.

Gorący patriota — był szermierzem braterskiej przyjaźni Polski Ludowej ze Związkiem Radzieckim, z wszystkimi krajami socjalistycznymi, szermierzem międzynarodowej solidarności ludzi pracy, żarliwym bojownikiem o pokój i przyjaźń między narodami.

Klasa robotnicza, cały naród znaly Go jako czołowego działacza Partii — przewodniczkę ich trudu i walki. Partia, której służył do ostatniego tchnienia — jako nieugiętego żołnierza komunizmu.

Cześć Jego pamięci.

REFLAKSJE na tematy religijne" ks. Mariana Michalskiego (Warszawa, PAX, 1955) to książka bardzo potrzebna. Do stwierdzenia takiego musi dojść każdy, kto po zapoznaniu się z nimi stara się odpowiedzieć sobie na pytanie, czy pomogą one współczesnemu katolikowi polskiemu w poruszaniu się wśród tych wielorakich problemów światopoglądowych, przed którymi staje on na każdym kroku. A domagają się one od niego jakiegoś rozwiązania, jakiegoś ich uszeregowania — tak, aby przestało istnieć niebezpieczeństwo, że się w nich zagubi, że w konsekwencji zwątpi w istnienie obiektywnych wartości, w imię których winno się toczyć każde ludzkie życie.

Treść książki nie była społeczeństwu katolickiemu obca, ponieważ złożyły się na nią artykuły publikowane w prasie katolickiej na przestrzeni lat 1953—1955. Dobrze się jednak stało, że artykuły te zebrano, że dano je do rąk czytelnika w zbiorze, który przedstawia so-



CTW 9013

cia ludzi niewierzących argumentem za tym, że eo ipso doczesność jest sprawą „niegodną” uwagi, „małością”, którą jeżeli się człowiek religijny zajmuje, to czyni to zawsze kosztem zdrady najwyższej dla siebie wartości, to rezygnuje wtedy z konsekwencji w realizowaniu swojej postawy, to nie jest w pełni człowiekiem religijnym. W postawie ludzi religijnych spotyka się też często wypaczenia polegające na tym, że sferę pozadoczesną stojącą najwyżej w hierarchii wartości uważa się za wartość jedyną, przekreślając absolutnie te, które stoją od niej niżej. Stąd zjawisko dzielenia własnego życia na dziedzinę ważną i nieważną — na taką, która się w oczach Bożych liczy, i na tę, która w oczach Bożych nie ma wartości, a więc powinna też absorbować w stopniu możliwie najbardziej nikłym świadomość człowieka. Świadomość ta ma być nastawiona na cel wieczny, ma być najintensywniej zaangażowana w wysiłek

wielokowi drogi łatwiejszej, pozwalającej na zmniejszenie wysiłku.

Przyjęcie na siebie konsekwencji myślenia religijnego, i religijnego życia jest decyzją odważną, podjętą w pełnej świadomości tego, że jest to wzięcie na siebie ogromnego trudu: „Jednym z najbardziej charakterystycznych rysów postawy religijnej jest niezmiernie poważne traktowanie życia” — pisze ksiądz Michalski. Istotą postawy religijnej jest poddanie się Bogu — ale nie po to, aby zwolnić siebie samego z odpowiedzialności za kształt świata i za kształt swojego własnego życia — powierzywszy Bogu uformowanie go — ale po to, aby w bezgranicznej ufności do Boga realizować w trudzie kształt tego świata i kształt swojego własnego życia, Katolik jest człowiekiem ogromnej odpowiedzialności — a stąd też winien być człowiekiem ogromnego dynamizmu. Odpowiedzialność bowiem nie może się wyrażać w bezczynności, która jest zdradą najis-

O wierze rozumnej

Bą pewną całość myślową i dzięki temu stanowi większy ładunek intelektualny.

Każdemu, dla kogo problemy światopoglądowe są żywe, kto wyznawanej przez siebie religii katolickiej nie ustawia na marginesie swego życia, ale traktuje jako stałe swoje zadanie uczynienie jej motorem tego życia i jego treścią — książka księdza Michalskiego da mądry argument. Da ten argument człowiekowi wierzącemu, od którego życie coraz częściej i coraz natężniej domaga się odpowiedzi na pytanie o zakres wiary i wiedzy; człowiekowi, w którym pod naporem otaczającej go rzeczywistości mogą się budzić — i na pewno budzą się — wątpliwości, czy trwanie w wierze nie jest z jego strony lekkiwym odsuwaniem od siebie konieczności samodzielnego myślenia, konieczności odważnej konstatacji, że sens jego życia zamyka się w doczesności, że tylko w niej ma on realizować dobro swoich bliźnich i swoje jednostkowe szczęście, że tylko w jej wymiarze liczyć się będą dokonania jego własnego życia.

„Refleksje” ukazują bogactwo motywów wiary, genezę postawy religijnej, złożoność samego aktu wiary. Religia daje człowiekowi odpowiedź na jego wieczne poszukiwanie sensu świata, na którym żyje, sensu jego jednostkowego życia. Daje tę odpowiedź, ale daje też człowiekowi wielkie zadanie: aby sens ten potwierdził i wypełnił treścią swego własnego życia.

To, że religia odnosi życie ludzkie do rzeczy ostatecznych, że nie tylko wymiar doczesności uważa za rzeczywistość istniejącą obiektywnie, jest powodem wielu wypaczeń, jakim ulega interpretacja roli religii w życiu człowieka przez tych, którym postawa religijna jest obca, jak również powoduje wiele wypaczeń w postawie ludzi religijnych.

Fakt, że dla człowieka religijnego wyżej w hierarchii wartości stoją cele pozadoczesne, stanowi często

jego osiągnięcia, a konieczność przejścia przez życie doczesne traktować jako „zło konieczne”, któremu nie można dać się „zbrukać”.

Dając pełne spojrzenie na religię katolicką, na jej rolę w życiu człowieka wierzącego, ksiądz Michalski ma wielką zasługę w tym, że pozwala na skuteczniejszą walkę z niebezpieczeństwem dwu powyżej zasygnalizowanych postaw. Człowiekowi wierzącemu wskazuje, że nie na unikaniu udziału w życiu doczesnym opierać się będzie jego uczestnictwo w szczęśliwości wiecznej. Musi na nią zapracować poważną, mądrą aktywnością, rozwijającą stworzoną przez Boga doczesność dla dobra bliźnich.

„...W ten sposób człowiek religijny wiąże życie doczesne i wieczne w jedną zwartą całość, w jeden nieprzerwany proces życiowy, obejmujący wprawdzie dwa różne etapy, nie oddzielone jednak od siebie przepaścią, lecz mające się do siebie jak część do całości, fragment do pełni”. (str. 50.)

Tak więc znika fałszywy i szkodliwy w życiu katolika rozdział między życiem wiecznym, które jest celem, i życiem doczesnym, które — jak kula u nogi — dążenie do tego celu utrudnia czy uniemożliwia. Rozdział ten — a nie jest on przecież sprawą jednostkowych wypadków, ale ma zasięg masowy — ma swoje źródło w fałszywym rozumieniu religii katolickiej, w fałszywym interpretowaniu jej istoty i jej nakazów. Aby go zlikwidować, trzeba spojrzeć na religię i w jej pełni i prawdzie — i to „Refleksje” księdza Michalskiego czynią, takie spojrzenia narzucają, dzięki temu są potrzebne i pożyteczne człowiekowi, szukającemu najpełniejszego w swej prawdzie wyrazu dla swoich przekonań religijnych.

Religia jest odpowiedzią na poszukiwanie sensu życia, wykraczając poza granice bytu naturalnego przynosi człowiekowi pociechę w trudach, jakie życie niesie ze sobą, ale nie za cenę ich ominięcia, niedzielenia, za cenę wskazania czło-

totniejszego posłannictwa katolika. Urok jego wiary nie jest urokiem spokoju uzyskanego za cenę odsunięcia od siebie wszystkiego, co jest trudne do przemyślenia, do przeżycia, do wykonania — jest urokiem pewności, że w ogromnym trudzie swego życia realizuje Prawdę.

Zrozumiałe jest, że w dobie ogromnej autonomii rozumu jako jedynej władzy poznawczej człowieka, która rości sobie prawo do wyjaśniania i normowania całokształtu życia ludzkiego, rola i miejsce wiary z wielu pozycji oceniane są jako dyskusyjne. Stąd oczywiście usiłowanie ograniczenia wpływu światopoglądu, którego podstawowym elementem jest wiara religijna. Stąd trudna sytuacja ludzi wierzących, w których podważa się przekonanie o wartości wiary — wyrabiając przekonanie o jej wstecznej funkcji, o funkcji hamującej naturalny i prawidłowy rozwój życia intelektualnego. Przeciwwstawianie światopoglądu naukowego światopoglądowi religijnemu może być skuteczne wszędzie tam, gdzie wiara religijna nie jest podbudowana wiedzą o jej rozumnych przesłankach. Ten problem — tak niesłychanej wagi i aktualności dla katolików wierzących w świecie współczesnym — znalazł swoje miejsce w książce księdza Michalskiego. Znalazł tu omówienie problemu stosunku aktu wiary do władzy poznawczej rozumu, zakres spraw objętych wiarą i zakres spraw objętych wiedzą. Wytyczony został katolikowi kierunek, w jakim ma się on poruszać na tej drodze, tak aby nie zbłądzić — i w konsekwencji nie zwichnąć swojej postawy światopoglądowej.

„Refleksje na tematy religijne” mają tę największą wartość, że są książką potrzebną współczesnemu katolikowi; książką, która rejestruje niewralgiczne punkty aktualnej dla niego problematyki światopoglądowej i religijnej; książką, która pobudza do myślenia i w mądry sposób to myślenie porządkuje.

Ada Borkowska

Dm 1591 05

CYWILIZACJA naszego wieku stała się przede wszystkim cywilizacją pracy, a codzienny wysiłek rąk i umysłów główną treścią naszych dni. Owocem pracy jest chleb powszedni i dach nad głową, jest godność społeczna człowieka. Ale ta codzienna praca pochłania każdy dzień, a pełen wyrzeczeń wysiłek przynosi zmęczenie i znużenie. Toteż każda niedziela staje się czymś coraz bardziej uciążliwym.

W świadomości przeciętnego człowieka niedziela jest dniem, w którym można dłuższą pospać, przywodzić odświętne ubranie i — w poczuciu wolności od codziennej dyscypliny pracy — oddać się mniej czy więcej wyszukanyemu rozrywkom. Czynione pośpieszonym tłumem ulic naszych miast i ruch na wiejskich drogach, przepelmione kina i stadiony nadają wyraźne piętno temu dniu. Odpoczynek niedzielny stał się zazdrośnie strzeżonym przywilejem. Nawet do wykonania prac naglących i koniecznych trzeba wiało przekonywać, by przetrwać opory spragnionego odpoczynku człowieka pracy.

W oczach wierzącego niedziela posiada jednak dodatkową treść, którą wyraża jej liturgiczne określenie: Dominica. Jest dniem poświęconym Panu. Człowiek wierzący także ma oddać pracę, odsunąć w bok, by wydobycie się z zaciętości i stanać twarzą w twarz ze swoją wiecznością, by

spotkać się z Bogiem. Jako stworzenie wobec Stwórcy, jako odkupiony wobec Zbawiciela, jako członek Mistycznego Ciała wobec Kościoła. Taki jest sens pokrytych pątną przykazań kościelnych: „Postanowione od Kościoła dni święte święcić” — „Mszy świętej w niedzielę i święta nabożnie słuchać”.

Znużyliśmy się sloganami, stępieliśmy na wiele hasel i nakazów.

POGŁĘBIENIE NIEDZIELI

Może do naszej wyobraźni lepiej przemówi drobna scena, fragment sprawozdania sądowego z odległej starożytności chrześcijańskiej, okresu, do którego często lubimy się odwoływać.

Wbrew edyktowi cesarza Dioklecjana wierni afrykańskiego miasteczka Abitiny odbywali nadal swoje religijne zgromadzenia (colleatae). 12 lutego 304 roku stanęli przed prokonsulem Anulinusem. Przebiter Saturninus, czworo jego dzieci, z tego dwóch lektorów, młodszy Saturninus i Feliks, córka Maria i maly Hilarianus oraz 26 mężczyzn i 18 kobiet. Gdy prokonsul przypomniał im zakaz cesarski, Feliks odpowiedział: „Odbywaliśmy zgromadzenie, bo zachowujemy przykazania Najwyższego”. A Wiktor: „Braćm udział w zgromadzeniu i razem z braćmi odprawiałam tajemnicę Pana, bo

jestem chrześcijanką”. Kapłan Saturninus: „Odprawialiśmy tajemnicę Pana, których nam nie wolno zaprzestać: taki jest nakaz prawa”. Emeritus, który udzielił lokalu na zgromadzenie, odpowiedział na zarzuty prokonsula: „Oni są moimi braćmi i nie mogłem im zabronić wejścia do swojego domu. Nie możemy żyć bez uczczenia dnia Pańskiego (Sine dominico non possu-

nych akt, obraz pojmowania niedzieli z owego okresu, gdy trzeba było odważyć, by być chrześcijaninem.

Czy dziś wielu z nas mogłoby z całą szczerością i poczuciem odpowiedzialności za swoje słowa powiedzieć: „Nie mogę istnieć bez niedzielnej Mszy. Jestem z koniecznością związany z tajemnicami Pana?” Czym wytłumaczyć częstą

wdzięczność odkupionego stworzenia dla Stwórcy. Wyrazem naszej wiary w tę rzeczywistość nadprzyrodzoną jest nasza obecność na niedzielnej Mszy i powaga, z którą bierzemy udział w jej obrzędach.

Zapomnieliśmy jednak o tym, że do tej Ofiary Chrystusa każdy z nas ma dołączyć swoją wewnętrznie ofiarę: pracę i wysiłek minionego tygodnia, swoje sukcesy i poknięcia, radości i kłopoty. Ofiarę z dnia powszedniego jako wyraz uwielbienia i dziękczynienia dla Boga, zadośćuczynienia za swoje niedociągnięcia — i prośby o Jego Łaskę na następny tydzień. Łączymy się z Chrystusem, który w Komunii św. składa w nas zarodek nowego życia, w którym egoizm ma ulec zniszczeniu, a miłość ma się rozprzestrzenić w dawanie siebie drugim. Chrystus zasiewa na polu naszego życia ziarno Boże, które — samo umierając — w promieniach słońca Bożego owocuje na ziemi stokratnie. Mamy wyjść z niedzielnej Ofiary wpatrzeni oczyma Chrystusa w świat, jako wspaniałe dzieło Boga, w świat, który dzięki naszemu wysiłkowi i modlitwie ma się stawać coraz doskonalszym hymnem Jego chwaly. Patrząc na innych ludzi jako braci, którym z naszej strony należy się taka miara miłości, jaką otaczamy siebie samych.

mediator

ZBIGNIEW LASKOWSKI

O czym chciałbym poczytać?

DAWNE, dobre czasy... Prasa podawała czytelnikowi potowę koncentraty wyręczając go w trudnej funkcji myślenia i formowania własnej opinii, wystarczyło przeczytać pismo i wiedzieć, co trzeba i jak trzeba sądzić. Było, minęło — teraz są dyskusje, są różne stanowiska, teraz już czytając prasę trzeba czasem pomysłić. Nawołuje się obywatela do obiektywizmu w ocenie, do trzeźwego sądu, uwzględniającego całą skomplikowaną strukturę i współzależność przeróżnych stron naszego życia. Agitujemy się nawzajem do patrzenia „z perspektywą”. Bardzo pięknie — ale jak tę perspektywę uzyskać?

Zdobycie się na własny uszech-stronny sąd nie jest łatwe, jeśli się nie ma na to środków: w i a d o m o ś c i, które by pozwalały na ukształtowanie własnej opinii. Brakowało ich przez długi czas a i dziś

jeszcze — choć prasa, jak to się popularnie określa, stała się znacznie „ciekawszą” — wegetują obszerne uogory, niemal nie tkniecie piórem publicyści i dziennikarza. Brak nam przede wszystkim informacji nie dorażnych, lecz problemowych, takich właśnie, które by pokazywały źródła i przyczyny.

Kiedy niedawno próbowałem nadgrzyć nasze sprawy mieszkaniowe (któż je rozrył katkowicze?), trafił mi do rąk styczniowy numer „Nowych Drog”. I tam właśnie znalazłem taki drobiaz: zestawienie przyrostu naturalnego w miastach i wsiach, w latach trzydziestych i dzisiaj. Mówi się, że nasze budownictwo mieszkaniowe w miastach nie nadąża za przyrostem ludności. No tak — ale z drugiej strony okazuje się, że w latach 1931—1932 przyrost ludności na wsi wyniósł 16,7 proc., a w miastach tylko 8,4 — dziś zaś (dane z 1953 r.) na

wsi 19,3 a w miastach jest nawet większy bo wynosi 19,8 proc. Wielkie miast (w tej zróżnicowanej wojnie Polscy) osiągnęło nie tylko przedwojenną liczbę mieszkańców, ale nawet ją pokonało przekroczyło (Poznań skoczył z 272 tys. na 372; Kraków z 259 na 423; Bydgoszcz z 141 na 200 itp.). Oczywiście ten i jemu podobne argumenty nie zatłwiają sprawy głodu mieszkaniowego, ale jednak uplastyczniają i pokazując sytuację w obiektywnym świetle pozwalają lepiej zrozumieć trudności w zaspokojeniu potrzeb.

Nie mamy dotychczas rocznika statystycznego i źle jest, że tego typu dane trzeba wydławić we fragmentach z różnych czasopism. Nie sądzę, aby po wyjściu rocznika z druku każdy z dwudziestu milionów Polaków biegał z nim pod pachą, ale sądzę, że wielu przeczłoby go z ciekawością, może nawet i z uwagą — na pewno zaś zrobiłoby to publiczność, dla której jest on niezbędny. Powiećcie, że dość już danych, cyfr, liczb i wydajności stali na godzinę. Macie rację — wielokrotnie bowiem szermowano cyframi, podawano je jednak jako gołą ilustrację (najczęściej) osiągnięć gospodarczych. Nie próbowano na większą skalę posłużyć się nimi jako środkiem do pokazania mechanizmu tego, co się dzieje, działu czy dział będzie. I dlatego ślizgający się tylko po powierzchni przedstawiali interesować.

Tak było i w całej dziedzinie gospodarki. Oscar Wilde uciechyłby się: państwo socjalistyczne, w którego prasie kuleje problemowe ujęcie zagadnień gospodarczych, w którym nie ma ani jednego fachowego pisma ekonomicznego „dla wszystkich”, kształtującego widzenie gospodarce przeciętnego czytelnika. Tak, wprawdzie dwa czy trzy dzienniki drukują czasem problemowe artykuły — ale to tylko kropka w morzu. A poza tym artykuły te zbiegają się z zakończeniem Planu 6-letniego i są z nim związane tematycznie — czy więc po wyczerpaniu tematu nie znikną?

Wielka dyskusja nad planem 5-letnim, coraz poważniejsze wciąganie wszystkich mieszkańców w życie gospodarcze kraju, dążność do wykorzystania inicjatywy i samodzielności terenowej — czyż to nie znaczy, że każdego obowiązuje spora wiedza ekonomiczna i umiejętność obiektywnej oceny. Zły to gospodarz, który kieruje się odruchami. Potrzeba rzeczowej, źródłowej publicystyki ekonomicznej.

Konieczna „perspektywa” i horyzonty należałoby poszerzyć o to, czego zupełnie nie spotykamy — o problemową informację gospodarczą dotyczącą również zagranicy. Jak mamy oceniać nasze działania, jeżeli żyjemy niemal w całkowitej izolacji od tych zjawisk ekonomicznych, które dzieją się w Europie, Ameryce i innych częściach świata. Wierze jak to jest: nafta rzadki światem czy nie? A jeśli tak, to jaki jest tego mechanizm? Wielkim wydarzeniem był Bandung — ale dlaczego pozostał tylko wydarzeniem politycznym i nikt z naszych publicystów nie zastanowił się nad dyskusjami gospodarczymi, jakie tam miały miejsce i nad ich konsekwencjami? 29 krajów, 30 mln kw. powierzchni pełne bogactw naturalnych i 1,5 mld ludności to chyba nie drobnotka. Dlaczego do naszych pism nie przenika nic z problemów gospodarczych Wielkiej Brytanii (szczególnie dla całej społeczności międzynarodowej istotnych), dlaczego nic nie wiemy o Indiach (i np. o penetracji kapitału niemieckiego, który chce opanować rynek — Niemcy budują m. in. wielki port w Kandla, który ma zastąpić Indiom utracony na rzecz Pakistanu port w Karachi itp.). A zagadnienie gospodarczej strony poparcia przez Anglię remilitaryzacji Niemiec: próba stworzenia rynku wewnętrznego, który by zaabsorbował

wał uwagę groźnego na rynkach światowych konkurenta? Dlaczego przenikają do nas z Ameryki zwykłe tylko informacje dotyczące objawów kryzysu i spadku na giełdzie, które wskutek swojej jednostronności spotykają się z nieufnym odbiorom? Mit mlekiem i miodem płynącego zachodu ma niewątpliwie swoje źródło również w kontrście ogólnikowych twierdzeń o kapitalistycznym wyzysku z zestawieniem np. ilości samochodów w USA, ma swoje przyczyny w braku poważnej publicystyki, która by wytłumaczyła przekonywująco np. istotne źródła wysokiej stopy życiowej w Belgii (uran, akumulacja kapitału itp.) — inaczej łatwo kojarzyć się ją z właścicielami ustroju. Zresztą nie chodzi tylko o to, by tłumaczyć „dlaczego”. Trzeba, by czytelnik po prostu wiedział, by mógł sądzić wydarzenia i miał skalę porównań.

Światowe zagadnienia gospodarcze są ściśle związane z zagadnieniami polityki i niejednokrotnie ich ukazanie byłoby zarazem ukazaniem rzeczywistych sprężyn posumień np. amerykańskiej czy angielskiej. Tym bardziej więc wymagają naświetlenia.

I odwrotnie — potrzeba dobrej źródłowej publicystyki zagranicznej. Przypomnę, że jednym z najciekawszych artykułów, jaki czytałem w ciągu roku, była odpowiedź na ankietę „Expressu” skierowaną do pism w 20 krajach, z zapytaniem o trzy najciekawsze i najważniejsze wydarzenia w 1955 r. („Die Tat” np. odpowiedział, że za jedno z nich uważa wycofanie się z życia politycznego Churchilla, gdyż oznacza to koniec okresu wiktoriańskiego w historii Wielkiej Brytanii! Symbol zmierzchu imperium!). Ankieta zastąpiła mi wówczas poważny komentarz polityczny, który niemal zupełnie nie jest uprawiany przez naszą prasę. Zdarza się wyjątkowo w dniach wielkich wydarzeń — na co dzień zastępują go wyliczenia faktów o kraszonej paromą wiążącymi zdaniami stały komentarz „Stowa Powszechnego” jest bodajże unikatem.

I jeszcze o sprawie specjalnej: o krajach socjalizmu. Z ręką na sercu: co my o nich wiemy? Od czasu do czasu krótki komunikat PAPu o wykonaniu planu i piękne słowa na okolicznościowej akademii. Obawiam się, że u przeciętnego mieszkańca Polski nazwa któregoś z nich (leżących obok lub niemal obok nas!) nie wywołuje żadnych żywszych skojarzeń a często pozostaje tylko sloganem. Ilekroć jest mowa o remilitaryzacji Niemiec, pada zawołanie: „Niemiecka Republika Demokratyczna”. Konia z rzędem temu, kto mi powie, jak tam żyje przeciętny człowiek i co się tam ciekawego dzieje. A Węgry, Rumunia? (Ta Rumunia, o której ubóstwie przed wojną chodziły legendy, a której produkcja przemysłowa dziś wzrosła trzykrotnie — co się kryje za podszezwą tej zmiany?) Teoretycznie najbliższe nam kraje pozostają białą plamą na mapie. Jaki jest w głębie nasz stosunek np. do Bułgarii? Amerykę — jako symbol „zachodu” — można nienawidzić, można w nią cieleko wlepić oczy. Jedno czy drugie określa jakąś postawę. Co z Bułgarią — brak własnego zdania? (No, olejek różany...) Nieśmiało próbujemy (narzeczcie!) coś zdziałać: pisuje się trochę o Czechostowacji, czasem zdarza się coś wyczytać i o innych krajach — ale to jest mało, znów tylko w dwóch czy trzech pismach

centralnych. No i przede wszystkim: to nie tylko sprawa ilości, ale i jakości. Wciąż jeszcze tylko luźne obrazki z życia. Jak najchętniej czytam reportaże o „niepoważnych drobiazgach”, dobrze napisane, świetnie zblizając kraj i ludzi — ale może tak oprócz materiałów opisowych rozwikłać również trochę spraw zasadniczych? (O Chinach już nawet nie wspominał — dla tego państwa, w którym się dzieją rzeczy na skalę historii światowej, trzeba by na dobrą sprawę wprowadzić stałą rubrykę).

Cała nadzieja w pismach kulturalnych: może one i o tym będą pisać? Zaczęły już przeorywać przeciętne uogory zagadnień społeczno-obyczajowych wykraczając poza tematykę „tradycyjnie kulturalną”. Czy zrobiły to stwierdzając, że pojęcie kultury jest szersze niż krąg muzyki, plastyki i literatury, czy też wyczyły potrzeby życia i czytelnika — dość że ruszyły na odłogi. Złosiłwi uprzedzie twierdzą, że pisma literackie rzuciły się na tę problematykę nie dlatego, żeby lepiej poznać bohatera książek i jego życie, lecz że to bardzo umiały sobie poradzić z zagadnieniami literatury i ich zawodowe dyskusje były jałowe — tak czy inaczej chwala im, że podjęły nowe zagadnienia. Ale kto o nich pisze? Reporterzy, publicyści — ludzie czepiący wiadomości z drugiej ręki. Ich uwagi są cenne, ale nie zastąpią głosów fachowców, którzy wnieśli do dyskusji rzeczowość i znajomość rzeczy. Dyskutujemy o alkoholizmie czy o etyce lekarskiej — ale brak jest wypowiedzi lekarzy; omawiamy sprawy wychowania młodzieży, chuligaństwa i moralności — ale brak jest w tych sprawach głosów wychowawców i prawników. Prawda: istnieje wiele (bardzo wiele) pism specjalistycznych, w których można znaleźć pogłębioną dyskusję na tematy fachowe. Dotyczy to zarówno problematyki społecznej, jak i gospodarczej. Ale dość spośród przeciętnych czytelników ma czas i ochotę na to, by obojętne się stęrtą numerów „Zycia Gospodarczego”, „Gospodarki Planowej”, „Państwa i Prawa”, „Nowego Prawa” i olbrzymiej masy innych wydawnictw i wartościować je pracowicie w poszukiwaniu syntetycznej opinii i fachowego wprowadzenia (których zresztą najczęściej tak łatwo nie znajduje, bo artykuły pisane są dla specjalistów)?

Dyskusje w pismach specjalistycznych i problemowa informacja — bo o nią chodzi — najczęściej pozostają w praktyce poza zasięgiem przeciętnego czytelnika. Wytwarzają się kręgi wtajemniczonych, żyjących własną problematyką, która nie przenika do „szarego ogółu”. W rezultacie Lovell i Czerwiński piszą o spekulacji a niżej podpisany (toute proportion gardée) puszcza się na szerokie wody, paragrafów kodeksu karnego. Głosy ludzi z zewnątrz, „spoca braci ży”, są na pewno ciekawe jako odbicie zagadnień nurtujących opinii — ale nie wyczerpują zagadnień i nie dają dostatecznej wiedzy, która by formowała ów wysniony własny i obiektywny sąd czytelnika.

Potrzeba rzeczowej problemowej dyskusji jest na pewno wielka i widzą ją pisma literackie, zajmując się nawet ekonomicznie. Ale jeśli one jedne będą miały wypełniać próżnię i zechcą przeorwać wszystkie uogory społeczno - gospodarczo-polityczne, to, kto wie, czy nie długo nie trzeba będzie unieść apelu o... nowe pisma literackie?

1

NIE ma w literaturze katolickiej takiego dzieła. O którym by można powiedzieć, że jest w pełni katolickie. Żadne dzieło literackie nie jest w stanie wyczerpać intelektualnej i religijnej treści katolicyzmu, który zachowuje swą nienaruszalność tylko wtedy, gdy jest traktowany jako uniwersum. Pisarz skazany jest na wysunięcie tylko niektórych elementów katolicyzmu szczególnie silnie przezeń przyjętych, a na pominięcie większości innych. Nie tylko poszczególne dzieła, ale cała twórczość pisarza katolickiego może być tylko cząstkowy wyraz treści katolicyzmu, choćby pisarz wychodził z założeń intencjonalnie jak najbardziej uniwersalistycznych.

Cząstkowość pojęcia katolicyzmu w dziele literackim wiąże się z modyfikacją treści katolicyzmu, spowodowaną naturą każdego procesu twórczego i subiektywnym, indywidualnym przeżyciem. Katolicyzm doznaje więc w dziele literackim zawsze pewnej nieuchwytniej redukcji i deformacji.

Inaczej przedstawia się sprawa w dziedzinie filozofii. Tam mogły powstać syntetyczne ujęcia katolicyzmu, dzieła dające wyraz pełni katolicyzmu. Ale i one posiadają wartość względną. I one budzą zastrzeżenia, wykazują braki, wymagają krytycznej postawy. Nawet najbardziej imponujące z tego rodzaju przedsięwzięć, Summa św. Tomasza z Akwinu, nie wyczerpuje bez reszty i raz na zawsze całości doktryny, nie ujmuje jej w postaci raz na zawsze ustalonej i po wsze czasy obowiązującej. Będąc dziełem ludzkim, dziełem jednego człowieka, nosi ona cechy swego autora, odzwierciedla jego charakter, jego dyspozycje psychiczne i intelektualne, jego środowisko i jego epokę. Następuje więc i tutaj zażalenie uniwersalizmu treści katolicyzmu, a nawet pewne nasywienie jej pierwiastkami subiektywnymi. Dlatego Summa św. Tomasza z Akwinu nie tylko nie wyklucza innych podobnych prób, ale je nawet prowokuje i uzasadnia.

Nie brak było pisarzy, którzy pragnęli stworzyć odpowiednik Summy św. Tomasza w literaturze. Przykład: Dante. Ale jego „Boska Komedia” mimo imponującego kształtu, mimo niezwiędzłej wartości wielu swych elementów treściowych jest nierównie bardziej odległa od pełni i czystości nauki katolickiej niż Summa. Uniwersum nauki katolickiej doznało w niej swobodnego naruszenia swego logiki wewnętrznej, swej architektониki, zachowania proporcji, ponieważ w o wiele większej mierze niż dzieło filozoficzne czy teologiczne angażuje i dynamizuje cały organizm ludzki autora, ponieważ w o wiele wyższym stopniu wpływa z jego wyobrażeń, temperamentu, uczuć i pasji niż z jego intelektu, ponieważ transpozycja artystyczna określonej treści intelektualnej i wzruszeniowej, posługując się językiem sugestii, obrazów i nastrojów, upełnia substancję katolicyzmu, pozbawia ją konsystencji: oddarza ją olbrzymią siłą emanacji, ale jednocześnie czyni ją wieloznaczną.

2

DZIEŁO literackie, szczególnie dzieło katolickie, jest nie tylko odbiciem pewnego fragmentu rzeczywistości czy życia: posiada ono również pewien ładunek emocjonalny, posiada coś, co nadaje swoiste piętno i charakter oddanej rzeczywistości, a co można by określić — niezupełnie zresztą odpowiedzialnie dla dzieła sztuki — słowem „problem”. Powieści historyczne „Igrdy Undset — „Krystyna córka Lawransa”, czy „Olaf syn Auduna” — dają nie tylko obraz średniowiecznej Norwegii, ale ukazują również określoną problematykę duchową i ona to stanowi istotną treść życia bohaterów i samego dzieła. Odnosi się to również do tzw. współczesnych powieści katolickich. Mauriac opisuje w swoich powieściach życie zamożnego mieszczaństwa prowincjonalnego, podobnie jak André Maurois. Ale wnosi on w to życie problemy religijne, które są laickim pisarzowi obce, dla niego zaś — istotniejsze od samego obrazu życia.

Katolickie dzieło literackie stanowi zarazem problem dla siebie samego: jest czymś względny, niepełny, nigdy w pełni osiągalny, nigdy w pełni skończony.

Co prawda, to samo można powiedzieć o każdym dziele sztuki. Jakże słuszną jest bowiem ta uwaga Ottona Ludwiga, niemieckiego dramaturga z XIX w.: „Piękno nigdy nie jest gotowe, zawsze może być jeszcze piękniejsze”!

Istnieje wewnętrzna sprzeczność między treścią sztuki, w tym wypadku literatury, między prawdą o życiu i człowiekiem a formą, gdyż prawda jest nieograniczona, niewyczerpana, a forma jest czymś skończonym, zamkniętym i stałym. Forma jest zawsze, choćby w minimalnym stopniu, deformacją autorskiej wizji życia.

Umieścić nieskonczone w skończonym — oto zadanie literatury, oto problem dzieła literackiego, oto źródło wiecznej troski artysty. Co uczynić, jak to uczynić, by forma prawdy nie była deformacją prawdy? Prawdziwie uchybia się już przez to samo, że pragnie się ją wyrazić. A przecież to właśnie jest nakazem i racją istnienia twórcy.

Problematyczność dzieła i paradoksalność sytuacji pisarza wzrastają jeszcze w sposób nieograniczony, gdy chodzi o literaturę katolicką. Ścisłe mówiąc: o wszelką

WITAMY ŚWIADECTWO PRAWDY

Są wydarzenia w dziejach, czasem z pozoru epizodyczne i niedoceniane przez najwybitniejsze nawet umysły współczesnych — wydarzenia, które z perspektywy historii nabierają znaczenia pierwszorzędnego: stają się własnością całego narodu, najistotniejszym elementem jego tradycji, wchodzi w skład trwałego dorobku jego kultury. Wy różnia je spośród innych to, że pozwalają zrozumieć historię. Tworzą „przewodnią nić” biegnącą różnymi kolejami poprzez dzieje. Zdolność ich odkrycia w morzu historii i powiązania w logiczny łańcuch pozwala zrozumieć społeczny rozwój, postęp — zrozumieć współczesność i znaleźć w niej swoje miejsce. Do takich wydarzeń należą historyczne elementy rewolucyjnej tradycji każdego narodu, który przestępując próg rewolucji staje jako całość na jej pozycjach. Tradycje i dzieje rewolucyjnej klasy, jej przywódców, ideologów i organizacji politycznych stają się wówczas — jako klucz do rewolucyjnej współczesności — wartościami kultury narodowej. Wszystko, co może rzucić cień na przeszłość rewolucyjnego nurtu, ideowość jego tradycji — interesuje cały naród, który nową miarę przykłada do wydarzeń swej przeszłości, ocenia swą historię z perspektyw otworzonych przez rewolucję.

Tak też dziś spoglądamy na dzieje polskiego ruchu robotniczego, nosiciela i hegemonia socjalistycznej rewolucji.

W dniu 19 lutego br. opublikowane zostało oświadczenie pięciu partii w sprawie niesłusznej, krzywdzącej Komunistyczną Partię Polski uchwały Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej z 1938 roku o rozwiązaniu KPP. Uchwała ta, podjęta w oparciu o sfalszowane przez prowokatorów materiały, wyrzuciła swego czasu poważną krzywdę nie tylko polskim komunistom, ale również — niewątpliwie — sprawie rewolucji socjalistycznej w Polsce. Jej anulowanie obecnie, choć w niczym nie może już wpłynąć na jej ówczesne następstwa, oczyszcza KPP z nieprawdzących zarzutów, przywraca dobre imię jej kierownictwa i wypełnia lukę w historii rewolucyjnej tradycji ruchu robotniczego w Polsce. Toteż wspólne oświadczenie Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Włoskiej Partii Komunistycznej, Bułgarskiej Partii Komunistycznej i Komunistycznej Partii Finlandii — wywołalo zrozumiałą radość nie tylko byłych członków KPP, nie tylko wszystkich komunistów, ale również wszystkich patriotów, którym droga jest sprawa dobrego imienia Polski i socjalizmu, i którzy widzą w ruchu robotniczym najkonsekwentniejszego realizatora idealów postępu i wyraziciela rzeczywistych interesów narodu polskiego.

Historia polskiego ruchu robotniczego stanowi istotną część historii narodu polskiego: prawo do niej stało się w socjalistycznej Polsce prawem całego narodu, a prawo narodu do historii — to prawo do historycznej prawdy. Dlatego z zadowoleniem przyjął ją wszyscy oświadczenie pięciu partii, dające świadectwo prawdziwie o treściznym fragmencie naszej najnowszej historii, tak ważnym z punktu widzenia kształtowania się rewolucyjnej świadomości narodu polskiego.

Odszyfrować ślad Boga

Literaturę, u podłoża której istnieje wiara w porządek nadprzyrodzony. Może to więc być nawet literatura typu Kafki, a więc wyrażająca poszukiwanie nadprzyrodzonego, absolutnego sensu bytu na drogach indywidualnych, poza ramami pozytywnych, dogmatycznych religii (choć nie bez wpływów z ich strony!).

Idzie o to, że jeśli czymś nieosiągalnym wydaje się uchwycenie w konkretnym dziele literackim prawdy o świecie doczesnym i doczesnym życiu ludzkim, to o ileż bardziej nieosiągalne musi się wydać uchwycenie w takim dziele prawdy nadprzyrodzonej; ukazanie absolutnego sensu i tła życia i wydarzeń, wyrażenie wiecznego sensu egzystencji jednostek ludzkich, to „odszyfrowanie” — jak się kiedyś wyraził Daniel Rops — „ślada Boga w świecie widzialnym” i odkrycie związku świata widzialnego ze światem niewidzialnym!

O ileż intensywniej musi przeżywać artysta katolicki „tę straszliwą władzę deformacji i hiperboli”, jak mówi Mauriac. Jakże silniej musi odczuwać nakaz oddania bezwzględnej prawdy i nakaz bezwzględnej szczerości, a jednocześnie przeżywać świadomość niemożności doskonałego spełnienia tego nakazu. Posłuchajmy tylko następującego wyznania Péguy: „Nigdy nie przystępuję do pisania nowej rzeczy bez drżenia. Żyję w ustawicznym drżeniu i lęku przed pisaniem. I im większe postępy robię, tym silniejszy strach mnie ogarnia. Podziwiam wielką pewność naszych intelektualistów... Wszystko, co się powiedziało, znaczy niemal tyle co nie. Woda, która wsiąka, nicost w wklęsłości dłoni...”

3

LITERATURĘ katolicką czynią problematyczną nie tylko procesy związane z tworzeniem, poszukiwaniem wyrazu, ale także rodzaj zasadniczego tematu. Rzeczywistość można dopiero wtedy adekwatnie przedstawić, jeśli wszystkie jej wymiary zostaną uwzględnione, i to w układzie hierarchicznym, odpowiadającym nauce Kościoła. To jest zadaniem pisarza katolickiego. Każę mu ono być, jak się wyraził Mauriac, „twórcą żywych istot, odkrywcą losów, co więcej — naśladowcą Stwórcy”.

Czyhają nań w trakcie wykonywania tego zadania dwa groźne niebezpieczeństwa. Pisarz katolicki porusza się w rozległej przestrzeni: na jednym jej krańcu mieści się dziełna stworzenia, na drugim dziełna Boga.

Gravitując zbyt blisko ku tej ostatniej stracić może z oczu pierwszą. Grozi mu wtedy pokusa zafalszowania rzeczywistości ludzkiej, a więc sprzeniewierzenia się mauriacowskiej maksymie estetycznej a zarazem i etycznej: „Ne pas falsifier la vie!” (Nie fałszować życia). W pośgu za niebiosną wizją może wyjść poza strefę działania siły przyciągania ziemskiego, może oderwać się od świata pojęć, logiki i komunikatywnych obrazów i stworzyć dzieła ciemne, enigmatyczne. Przykładem — Norwid i T. S. Eliot.

Istnieje wreszcie niebezpieczeństwo estetycznego manicheizmu: w przeświadczeniu, że świat ducha od świata materii oddziela nieprzebrana przepaść, skazująca również wszelkie próby ujęcia istoty rzeczywistości w formę artystyczną na nieuchronną klęskę, pisarz wyrzeka się twórczości. Wśród ofiar tego wyjątkowo uwodzicielskiego dla pisarza największej miary kacerstwa znajdujemy i Mickiewicza, który wskutek przeżyć związanych z towarzyszeniem złał do końca życia pióro, i Artura Rimbauda, który skończył swą błyskawiczną karierę poetycką mając lat dziewiętnaście i już nigdy do twórczości poetyckiej nie wrócił, i Franza Kafkę, który przed śmiercią polecił swemu przyjacielowi i opiekunowi, Maxowi Brodowi, by zniszczył całkowicie jego dorobek literacki jako bezwartościowy.

A teraz o niebezpieczeństwach odwrotnych: niebezpieczeństwach płynących z fascynacji materią, ciałem, grzechem, złem.

Literatura czerpie życie ze świata empirycznego. Inaczej byłaby tylko królestwem wiotkich i bladych cieni. Dotyczy to także literatury katolickiej. Przelatrując rzeczywistość na język sztuki, język sugestii, pisarz obdarza ją siłą oddziaływania tak wielką, iż może w dziele spowodować naruszenie proporcji między porządkiem przyrodzonym a nadprzyrodzonym, między złem a dobrem, grzechem a Łaską. Mauriac, posiadający w tych sprawach dużą kompetencję i nader liczne doświadczenia, pisał: „Pi-

sarz katolicki to bynajmniej nie triumfator, lecz bojownik wystawiony na ustawiczne niebezpieczeństwo. Kroczy na cienkiej linii między dwiema otchłaniami: otchłanią zgorzienia i otchłanią kłamstwa”.

Skoro zło mieści się w świecie, katolicka kompozycja rzeczywistości nie może go z niej wyeliminować. Inaczej artysta popełnia kłamstwo. Zarazem jednak jego obraz rzeczywistości nie powinien naruszać zasadniczych norm moralnych, nie powinien wywoływać zgorzienia. Wprawdzie zło należy przedstawić nawet w jego bardzo odrażających postaciach, ale zawsze istnieje obawa, że może ono pozostawić ślad nie tylko w duszy czytelnika, ale w samym pisarzu. Dlatego Maritain ostrzegał pisarzy, by nie zapuszczali się zbyt głęboko w obszary zła. Ale i to ostrzeżenie jest względne: sam Maritain świadom jest, iż nieraz „właśnie pośrodku błota tkwi klucz do całości”. Więc nastrojony pesymistycznie Mauriac oświadcza: „Trzeba być świętym, ale wtedy przestałoby się w ogóle pisać powieści!”

Lecz nie istnieje konieczność ujmowania rzeczy tak krańcowo, maksymalistycznie czy — destrukcyjnie. Wystarczy posiadać świadomość praw i faktów nieodłącznych od natury katolickiej rzeczywistości literackiej, a które Etienne Borne ujmuje w ten sposób:

„Literatura, nawet katolicka, jest przede wszystkim literaturą świecką, może ona ukazywać pierwiastki świętości tylko i wyłącznie w powiązaniu z pierwiastkiem doczesnym, ziemskim.

Żadna chemia krystalizacji nie zredukuje bez reszty tej nieczystej alchemii. Zdarza się — a nie jest to wcale przypadek ani błąd, lecz normalny los — że pisarz wprowadza niepokój do wiary ludzi wierzących, zarazem jednak budząc sympatię, zainteresowanie i nostalgię za wiarą u niewierzących. Jedni mu będą zarzucać profanowanie świętości, drudzy zaś odkrywają dzięki niemu coś świętego w tej „sferze doczesności, która jest im szczególnie bliska. Literatura katolicka jest przeto rodzicielką szczęśliwego zamętu”.

KAZDA indywidualna wizja artystyczna rzeczywistości może ujmować tylko cząstkę katolickiej prawdy o rzeczywistości, katolickiego obrazu świata. Nie można w tej częste widzieć nawet podobieństwa do kropli wody (która stanowi cały kosmos w miniaturze), bo przepuszczona przez filtr indywidualnej percepcji pisarza i transpozycji artystycznej ulega ona swojemu zabarwieniu. Byłoby zatem rzeczą nieopatrzną choćby z najgenialniejszego katolickiego dzieła literackiego wysnuwać pełnię i autentyczność doktrynalną koncepcji bytu, „uczyć się” na jego podstawie katolicyzmu tak np. jak się u nas uczono historii Polski na podstawie powieści Kraszewskiego czy Sienkiewicza.

Prawda o bycie i prawda katolicyzmu są niewyczerpane. Dlatego wciąż powstawać będą nowe dzieła sztuki, dzieła usiłujące uchwycić tę prawdę, dotrzeć do niej, wyrazić jej istotę; poprzecznie jej transpozycje i rewelacje nie wyzwalają twórców nowych generacji z potrzeby przeżycia i oddania życia „na własną rękę”. Każdemu twórcy jawi się prawda w innych kształtach i inny rąbek swych tajemnic uchyla.

Nie byłoby również właściwe sądzić, że każdy pisarz katolicki, kształtując swe dzieło, cały swój



Niedziela Męki Pańskiej

Rys. Edward Krasinski

świadomy wysiłek kładzie w prawidłową interpretację katolickiej koncepcji bytu lub któregoś z dogmatów Kościoła. Dowodziłoby to lekceważenia psychologii twórczości. Pouczające i ostrzegawcze mogą być pod tym względem słowa zawarte w liście Grahama Greene'a do jego monografisty francuskiego, Paula Rostenne: „Powieściopisarz musi w dużej mierze pisać na ślepo... Bardzo byłbym zakłopotany, gdyby mnie pytano, jakie idee zawarł w moich książkach lub tkwią u ich podłoża”. W tym zwierzeniu mieści się coś, co w mniejszym lub większym stopniu można by odnieść do każdego pisarza. Proces twórczy nie musi przebiegać spontanicznie i gorączkowo. Jednak aprioryczne postulowanie wymagań estetycznych i ideowych w oderwaniu od specyficznych właściwości tworzenia artystycznego i od warunków indywidualnych, w jakich dokonuje się u każdego artysty realizacja pomysłu twórczego — wydaje się pozbawione sensu.

Pisarz może nieraz doznawać obawy, czy w samej istocie artystycznej transpozycji rzeczywistości, w postawie, którą ona narzuca twórcy, nie mieści się w ogóle jakaś integralna sprzeczność z postulatami pełnienia służby dla królestwa Bożego na ziemi poprzez sztukę. Wątpliwości tego rodzaju przeżywał np. Julian Green. Notował on w swym „Journal”: „Nie sądzę, by mogła istnieć powieść, która by nie zawierała trucizny... Chciałbym bardzo wiedzieć, czy fakt pisania powieści da się w ogóle pogodzić ze stanem Łaski”. Podobną obawę odnajdujemy w wyznaniu Elisabeth Langgasser: „Ogarnęła mnie dawna paulińska trwoga, iż obwieściwszy innym zbawienie, sama zostanę pojęta, ponieważ ulegam pokusie

stawiania sztuki ponad życiem” („Listy nieogłoszone”).

Oczywiście, nie należy uogólniać tego rodzaju przeżyć. Chodzi jednak o to, że czytelnik i krytyk literacki winni wiedzieć, iż w wypadku twórczości pisarzy katolickich (jak zresztą w pewnych poręczach wszelkich pisarzy „zaangażowanych”) ma się do czynienia z grą bardzo nieraz sprzecznych sił i tendencji. I że nie zawsze można z góry przesądzać o wyniku tej gry ani też z góry zakładać określonego wyniku — bez narażenia pisarza na ryzyko, iż swą książką nie wzbogaci literatury godnej tej nazwy, ale ten rodzaj piśmiennictwa, który dał Heinemu asumpt do ukucia następującego aforyzmu: „Der liebe Gott hat den Christen den Himmel nach diesem Leben und den Nichtchristen zum Ersatz das gute Dichten in diesen Leben zugeteilt” (Pan Bóg przynależał chrześcijanom niebo po tym życiu, a niechrześcijanom wzamian za to dobrą literaturę w tym życiu).

NIE należy jednak się oszukiwać: między bardzo budującymi powieściami ks. Stanisława Pasławskiego a bardzo gorszącymi powieściami Mauriac'a istnieje większy związek, niż by się na pozór mogło wydawać. W jednym i drugim bowiem wypadku mamy do czynienia z utworami „z tezą”, z propagandą. Również Mauriac pragnie swymi książkami „budować”, służyć Kościołowi, przysporzyć Panu Bogu chwaly. Czasem nawet zwraca uwagę odbiorcy na swe intencje w sposób tak bezpośredni, że psuje efekt artystyczny utworu do czegoś jakoby nieuchronnego, co ukazanego w nim obrazu życia w sposób czysto mechaniczny tezę. Nie tai swego zamiaru

służenia Kościołowi, sprawie religii katolickiej tak spontanicznie piszący autor, jak Graham Greene, ani Julian Green, ani Elisabeth Langgasser, która wręcz powiedziała: „Praca artystyczna jest dla mnie tym, czym wielbię Pana Boga”. Nie znaczy to, rzecz jasna, by pisarz w rodzaju Grahama Greene'a przystępując do pisania danej powieści powiedział sobie: „dam w niej wyraz katolickiemu pogładowi na rzeczywistość”, albo „zilustruję beletrystycznie naukę Kościoła o spowiedzi św.”. Nawet „pisanie po omacku” nie jest sprzeczne z intencją pełnienia poprzez książkę misji religijnej czy realizowania w sobie „podobieństwa Bożego”.

Pisarze katolicki wielkiej miary są z pewnością o wiele większymi „propagandzistami” niż autorzy książek budujących: dla nich twórczość jest najważniejszą sprawą, dla tamtych zaś tylko uzupełnieniem codziennej aktywności, oni wszystko wkładają w twórczość, co mają w sobie najlepszego, ci zaś tylko szlachetne intencje i beztalencie, dla nich intencja służenia Bogu poprzez twórczość tkwi w najgłębszych pokładach ich psychiki, podczas gdy u tamtych jest czymś całkowicie zewnętrznym, powierzchownym.

Natomiast między tymi dwiema dziedzinami piśmiennictwa katolickiego istnieje bardzo istotna różnica, mianowicie taka, jaka istnieje między dziełami van Gogha a „dziełami” producenta dewocjonalii: oddziela je nieprzebrana przepaść sztuki.

Piśmiennictwo dewocyjne postuluje się środkami prymitywnymi, stereotypowymi. Katolickie piśmiennictwo artystyczne, stanowiące dla twórców najwyższy powołania, ich losu ludzkiego, a zarazem najwyższy wyraz ich służby dla Boga, wypływa z jednych i niepowtarzalnych doświadczeń osobistych pisarzy, z ich najgłębszych uczuć, z ich pasji kształtowania nowych światów i nowych istot, i posługuje się środkami indywidualnymi, trudnymi, wieloznacznymi, dyskretnymi. Piśmiennictwo dewocyjne nie oddala się od pojęć katechizmowych, przez co nieraz znajduje uznanie oficjalnej opinii katolickiej, która niechętnie i nieufnie patrzy często na utwory sięgające poza ten podstawowy zasób pojęć.

6

WIZJA rzeczywistości, odpowiadająca realizmowi chrześcijańskiemu, a więc uznaniu za realne świata rzeczy zarówno widzialnych jak i niewidzialnych, stanowi kardynalny rys katolickiego dzieła literackiego.

Tym bardziej więc uderza, że u niektórych wybitnych pisarzy spotykamy się raczej z czymś, co jest sprzeczne z ową kardynalną zasa-

dą. Mamy u nich do czynienia ze zjawiskiem, które by można określić jako odrealnienie rzeczywistości doczesnej. Widzę tu dwa reprezentatywne przykłady: Juliana Greena i Elżbiety Langgasser.

Ciekawe, że bohaterowie Greena, choć przeżywają problemy, bliskie katolickiemu życiu wewnętrznemu, działają i poruszają się w świecie, który jest czymś halucynacyjnym, fantasmagorycznym, złudnym jak „maja” hinduska. Również koncepcja losu ludzkiego — fatalistyczna, podobna do pojęcia greckiej „ananke” — jest u Greena biegunowo sprzeczna z katolicyzmem.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa u Langgasser: jej wizja świata jest w stopniu niezwykle silnym nasycona magicznością. Jest to kosmos, w którym elementy rzeczywistości, życia codziennego, przedziwnie łączą się i splatają z uludą, widmowością; w którym każda rzecz jest sobą a jednocześnie tym, tamtym i jeszcze czymś innym, w którym prawa przyrody działają raz prawidłowo, to znów wręcz odwrotnie; w którym np. symbolika sakramentów łączy się z obrzędowością mitologiczną itd. Głównie dzięki tym właściwościom twórczość Langgasser uzyskała swoiste odrębne oblicze i rzadką sugestywność. Ale wkraczając w ten zaczerpnięty krag oddalamy się ogromnie od katolickiego życia chrześcijańskiego realizmu, choć jednocześnie wraz z autorką i dzięki niej oddychamy klimatem integralnych problemów religii katolickiej.

Czy więc twórczość pisarzy w rodzaju Juliana Greena i Elżbiety Langgasser należałoby wyeliminować z literatury katolickiej? Oto zagadnienie, które może być pasjonujące dla miłośników teoretycznych spekulacji.

7

Nie każda książka pisarza katolickiego (nawet takiego, który pragnie świadomie i bezwzględnie dać w swych utworach wyraz swych przeżyć religijnych) bywa „katolicka”. I nie każda książka pisarza niekatolickiego musi być „niekatolicka”.

Mauriac wzywał kiedyś swoich młodocianych czytelników, by nie wydawali sądu o jego katolicyzmie na podstawie lektury jednej czy drugiej jego książki, lecz brali pod rozwagę całość i tło jego dzieła. Dla niejednego pisarza katolickiego twórczość stanowi prawdziwą kalwarię. Na drodze jego rozwoju zdarzają się upadki, pustynie duchowe, rozpacz, złamanie, zwątpienie. Nieraz w ogóle nie dociera się do celu. I wydając sąd o pisarzu, zwłaszcza o jego stosunku do

(dokończenie na str. 4)

SIEDMNASTA ROCZNICA KORONACJI OJCA ŚWIĘTEGO PIUSA XII

W dniu 2 marca br. Ojciec Święty Pius XII, którego imię w życiu Kościoła zrosło się z ogłoszeniem dogmatu o Wniebowzięciu N. M. Panny, ukończył 80-ty rok życia, a w dziesięć dni potem uroczystie obchodzono siedemnastą rocznicę Jego koronacji, która, jak pamiętamy, miała miejsce 12 marca 1959 roku. Pastorzowanie obecnego Papieża przypadło na okres historyczny, szczególnie obfity, a w tragiczne kon-

flikty i całkiem nowe problemy, wobec których stanęła ludzkość na progu ery atomowej. Łącząc się poprzez modlitwę w intencji Namiestnika Chrystusowego i Kościoła Powszechnego z wszystkimi katolikami globu ufamy gorąco, że chrześcijaństwo potwierdzi swym wkładem prawdę o wysokiej społecznej odpowiedzialności wyznawców naszej religii za realizację dzieła sprawiedliwości i pokoju.

MAM napisać parę zdań o „Sekrecie” Jerzego Krzysztonia i o wypowiedziach czytelników na temat tej noweli. Taką jest wola redakcji. Nie będzie jednak to, co napiszę, ani „podsumowaniem dyskusji”, ani „próbą uzgodnienia stanowisk”, ani też poszukiwaniem „zdrowego kompromisu”, który pogodziłby oliwę z wodą i kózę z kapusią. Przeciwnie, chcę zacząć swoje uwagi od wyrażenia radości z powodu burzy, jaką rozpętał „Sekret”. Spór? Cóż może być lepszego niż spór, byle tylko był on sporem idei, sporem myśli, a nie jatowym handryczaniem się o nieistotne drobności, o pleśnięcie w nieprzewietrzonych od dawna mózgach natęgniętych, urojenia i hietykaine tabu odwiecznych komunali i konwensów. „Rozbieżne zbiega się i z rzeczy roznych powstaje napiętniejsza harmonia. Wszystko powstaje ze sporu” — powiada Heraklit z Efezu.

Zanim jednak rozbieżne zbienie się i z rzeczy roznych powstanie napiętniejsza (o j, czy nie za duże wymagania?) harmonia, walka trwa.

Pobojowisko odkrywa kurzawa, Gęstym тумanem wojowników mroczy,

jak to zwykły był mawiać w podobnych wypadkach Księżę Biskup Warmiński (podkreślenia w cytacie pochodzą nie od Jego Ekscelencji tylko ode mnie — S. L). Cośkolwiek by się nie działo, Nasz jest rzeczą wysłędzić w owej kurzawie gromnie brzmiałych słów, w owym gęstym тумanie frazesów, po bajek i płacziwych zawodach punkty węzłowe sporu, określić je z jaką taką dokładnością i wysnuć pewne wnioski natury ogólnej.

Zaczynamy od rzeczy stosunkowo najmniej spornych: od kwestii posużenia się przez autora pewnym trywializmom językowym. „Stali czytelnicy niszczyli ten numer (tzn. numer z nowelą Krzysztonia), nie chcąc, aby trafił w domu do rąk dzieci”. Ja to stanowisko rozumiem, choć rozumiem także prawo pisarzy nie pozwalających narzucić sobie przymusu pisania tak, aby ich książki mogły być uznane za odpowiednią lekturę dla dorastających panienek. Otóż to: książki! W katalogu bibliotecznym można zrobić zastrzeżenie: książka tylko dla dorosłych, w domu można ją schować do zamkniętej na klucz szafy. Czasopisma jednak czytują zazwyczaj cała rodzina. Obecnie zaś przyjął się w życiu młodzieży pewien styl określony kiedyś przez „Po Prostu” jako „wdechowy”, stanowiący niebezpieczne pogranicze między stylem życia normalnym a jawnie chuligańskim. Bywają momenty, że o odchyleniu się od stylu „wdechowego” w jedną lub drugą stronę może zdecydować lada głupstwo. I dlatego mają rację rodzice, którzy wolą unikać dostarczania swoim dzieciom okazji kuszących w stronę chuligaństwa. A tuż temu lub owemu ze znajdujących się na niebezpiecznym zakreśleniu „wdechów” po przeczytaniu „Sekretu” przyjdzie się teka „katolicka odwilż” i że j u z t e r a z wolno się posługiwać, jak to określa pan Piecyk, publicznym słowem. Często powtarzanie jakichś słów utrwala określone myśli, myśli zaś pobudzają do realizujących je działań. Tak się rozumuje — i to nie bez racji, choć, oczywiście, psychologia ta jest mocno uproszczona i zbyt mechaniczna. Bądź co bądź lekceważę jej nie należy. Dlatego też usuniecie paru trywializmów z tekstu drukowanego w czasopiśmie (w książce ten zabieg wydaje mi się mniej konieczny) nie skrzywdziłoby chyba autora, zwłaszcza że w jego opowiadaniu sprawa najważniejsza jest nie werwystyczne traktowanie obraz środowiska, ale problematyka psychologiczno-moralna.

Rozwodzić się nad tą sprawą nie ma potrzeby, gdyż zresztą przeciw tym trywializmom opowiedział się wszędy zabierający głos w sprawie „Sekretu”. Nie uważam co prawda, aby *vox populi* był zawsze i niewątpliwie tym samym co *vox Dei*, ale w tym konkretnym wypadku można chyba to przyznać. Oponuje przeciw takiemu postawieniu sprawy jedynie p. Jastrzębski z Warszawy, pisząc: „Wystarczy wydrukować słowo d... i k..., by w pewnych sferach zawrzało”. No tak, „wszystko racja”, jak to powiada poeta, ale są przecież i takie sfery, w których za wydrukowanie owych inkryminowanych słów otrzymuje się z miejsca dyplom uznania za „odwagę”, „oryginalność”, baw! nawet za „postawność”. Nie cierpię purytanizmu, ale — z dwojga złego — łatwiej mi pogodzić się z nim niż z tym osobliwym smakoszoństwem lubącego się w ordynarnościach przerafinowania.

Gdyby jednak wszystkie zarzuty przeciw opowiadaniu Krzysztonia sprowadziły się wyłącznie do kwestii słownictwa, nie byłoby o czym pisać. Powinno być złożyć po prostu krótkie oświadczenie: puścić mimo to do druku rzecz nie aniu-stowaną, bardzo za to naszych czytelników przeproszą — czytelnicy, mrukawszy pod nosem: „Dobra, chwała, że przeprasza”. Zabraby się do normalnych zajęć — zamieszanie między nie nad piśmiennictwo felietonu — poszedłby z Krzysztoniem do „Niespodzianki” na pół czarnej — i wzburzone na chwilę nurty polskiego życia wróciłyby z powrotem w swoje zwykłe lożyisko. Okazuje się jednak, że niektórzy mają pretensję nie tylko do redakcji, ale i do autora. „Wszyst-

ko powstaje ze sporu”. Przysłuchujemy się więc temu sporowi, bo i z niego może coś powstać.

CÓŻ więc zarzuca się Krzysztoniowi? Sięgnijmy do drukowanych w „Dziś i Jutro” listów. W jednym z nich czytamy: „Czy Paweł Rosicki to właśnie ten pozytywny bohater, ten typ katolika, który może stać się wzorem?” W innym zaś: „Przedstawiony przez Krzysztonia świat przeżył religijny bohater „Sekretu” i jego postawa wobec przejawów praktyk religijnych daje jak najbardziej wypaczony obraz funkcji społecz-

ko powstaje ze sporu”. Przysłuchujemy się więc temu sporowi, bo i z niego może coś powstać.

nej katolicyzmu... Katolicyzm jest optymistyczny, toteż trudno jest obrazzić sobie jednostkę wierzącą, której wiara, chociażby nieugruntowana, ale przekazana w drodze tradycji, nie doprowadziła po okresie buntu i wewnętrznych negacji do pozytywnego końca pojednania z Bogiem”. W innym zaś: „Istnieją jednak prawdy nie nadające się do publikacji. (...) Nie każda prawda służy życiu. Po coż mamy poznać to, co potęguje jedynie bezadziejność i pesymizm? Potrzebna nam takiej wiedzy o rzeczywistości, dzięki której możemy się wewnętrznie rozwijać i wzrastać w łasce u Boga i ludzi. Nie możemy unikać przedstawienia zła, ale mamy prawo wiedzieć, w jaki sposób zło może i powinno być przezwyciężone. O ile dany utwór ogranicza się wyłącznie do ukazania tego, co jest prawdziwe w sensie negatywnym, to nie posiada w oczach katolika żadnej wartości moralnej”.

Wczytajmy się w te fragmenty. Cóż one mówią? Bardzo wiele. Wpisana jest w nie w nuce cała filozofia życia i cała filozofia sztuki. Filozofia ta powiada: w życiu są różne rzeczy przykre, groźne,

niebezpieczne, po coż jednak o nich mówić? A jeśli już ktoś uprze się i zacieńte rodzaju sprawę poruszać, to przynajmniej niech nie zostawia nas w stanie smutku, niepokoją, wewnętrznej rozterki. Niech tak jakoś pokieruje swoim opowiadaniem, żebyśmy przecież mogli się wreszcie — skończywszy lekturę — uśmiechnąć i z radosną ufnością istot zadowolonych ze świata i siebie powiedzieć: „Wszystko dobre, co się dobrze kończy”. Życie bywa trudne, człowiek ślaby, pokusy diabła chytne i niełatwe do odparcia, ale przecież katolicyzm jest w z a s a d z i e optymistyczny,

to bądź skutki czyjeś umyślnej złośliwości, bądź też białe epizody, nieistotne wyjątki z ogólnej reguły. Wcześniej czy później i tak wszystko się wyjaśni, dobry zostanę wynagrodzeni, źli ukarani, tymczasem zaś baczmy tylko, aby wszyscy wokół nas myśleli i działali zgodnie ze starym, dobrym obyczajem. Podstawowym zaś aksjomatem wyznawanej przez autorów owych listów filozofii sztuki jest poglądy, że sztuka powinna rzeczywistość upiększać, idealizować, czynić miłą i powabną, a poza tym działać wychowawczo, tzn. ukazywać postacie godnych naśladowania bohaterów,

co wyżej rzeczony Gerard pisze o literaturze jako twórczyni mitów, to pewnie przystałoby do obozu przeciwników Krzysztonia, jako domagającego się literatury mitologicznej, literatury bajkowej, opowiadającej o świecie takim, jaki marzy się naszym pragnieniom i poboznym życzeniom, ale nie takim, jaki widzimy za naszymi oknami, nie takim, jaki swymi groźnymi nurtami porywa nas i zalewa oszołomionym jego przemocem, a przecież walczącym przeciw niemu, aż do ostatniego tchu — w imię naszego człowieczeństwa.

Literatura — twórczyni mitów. Literatura — Szczęsnerada opowiadająca bajki. „Bajki — mówi Brzozowski — opowiada się dzieciom przed zaśnięciem, a narodom przed skonanem”.

Nie tylko narodom. Również dogorywającym formacjom społecznym i kulturalnym opowiada się przed skonanem pocieszające bajki. Bo tego właśnie życzą one sobie: tej kłamliwej pociechy, która narkotykiem euforii nasyci godzinny agonii budząc radosną pewność, że to bynajmniej nie agonie, że to świt odrodzenia, świt nowego „prawdziwego” życia.

O wieczności Kościoła zapewniają nas słowa Chrystusa. Jest to gwarancja nie potrzebująca żadnych ludzkich potwierdzeń i asekuracji. Gwarancja ta nie obejmuje jednak żadnych poza Kościołem społeczno-kulturalnych formacji katolicyzmu. Katolicyzm spod znaku: „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna”, katolicyzm wyznający zasadę: „Ja i Ty, Panie Boże, a reszta świata Niech sobie troszczyć poczeka”, katolicyzm zamknięty raz na zawsze w obrębie spetryfikowanych, niedoświadczonych ustalonych pojęć na aktualnie panujących w świecie porządek jako „porządek Boży” — na tego rodzaju gwarancje powoływać się nie może.

Nie trzeba nam mitów. Nie potrzebujemy pocieszających i usypiających bajek. Potrzeba nam najdokładniejszej, najbardziej precyzyjnej wiedzy o świecie i człowieku. Wiedza ta burzy ustalone szablonny odczuwania i myślenia, stawia nas wobec spraw groźnych i przerastających naszą zdolność zapanowania

nad nimi. Co wiemy o przeżywcach duchowych, o doświadczeniu religijnych ludzi, którzy znaleźli się poza obrębem zorganizowanej społeczności wyznaniowej, o tych — może dezertach, a może odtrąconych — nad którymi nie czuwa żaden duszpasterz, których życiem wewnętrznym nie kierują normy i praktyki religii pozytywnej? Krzysztón miał odwagę zająć się tym zagadnieniem, zejść na dno owego immanentnego, doczesnego piekła, w którym żyją zbuntowani przeciw Bogu. Bo na tym właśnie polega tragedia Pawła Rosickiego, że nie jest on religijnym indyferentem. Gdyby nim był, bałby się najwyżej śmierci normalną trwogą wszelkiej istoty lekającej się zwiecenia swego „ja”. Nie, Rosicki to ktoś, kto stał się wrogiem Boga, kto z atakującym go przez jego sumienie Bogiem zmagając się w rozpaczliwej walce, kto chce umrzeć, aby się od tej walki uchylić. Błąd Rosickiego polega na tym, że jeśli Bóg jest, to śmierć nie stanowi ucieczki przed Nim. Rosicki jest w położeniu beznadziejnym. Na jego losie śledzimy tragedię buntu przeciw Bogu, śledzimy tę sytuację graniczną, w której może się w każdej chwili znaleźć każdy. Bo ktoś może być pewny, że gdy przyjdzie mu wybrać pomiędzy sobą a Bogiem, opowie się po stronie Boga — wbrew własnej ambicji, własnej woli, własnemu pojęciu o prawie do absolutnej swobody wewnętrznej? Paweł Rosicki to nie żaden przypadek wyjątkowy, jego los — to m o z ł i w o s ę, kolo której przechodzimy co dzień, nie myśląc o czającej się u naszych stóp przepaści. I na tym właśnie wielkim uogólnieniu, na immanentnej, bo wyprowadzonej z realistycznego przedstawienia dzieł bohatera, symbolicznie „Sekretu” polega jego doniosłość.

O „Sekrecie” można by napisać jeszcze daleko więcej. Jeżeli dyskusja nad tym utworem nie urwie się na wykrzykach oburzenia i protestu, ale rozwinie się w poważną wymianę zdań, będzie jeszcze okazją wrócić do tego tematu. Na razie chciałem tylko ukazać ważność tego utworu, jako wielkiej prowokacji intelektualnej wobec sumień katolickich, mózgow i sumień i jako otwarcie nowych możliwości przed literaturą katolicką.

ODSZYFROWAĆ ŚLAD BOGA

(Dokończenie ze str. 3)

religii, należy ocenić całą jego przebiegłą drogę, a nie tylko poszczególne jej stacje czy etapy.

Czy pisarz katolicki, żyjący swym katolicyzmem, zdolny jest napisać powieść naturalistyczną lub nihilistyczną? Oczywiście tak. Mieści się to nie tylko w sferze możliwości, lecz nawet w sferze faktów. Nie daleko sięgając wystarczy wymienić Mauriac. Pisarzowi temu aż nadto wytykano biologiczny naturalizm, stwierdzając, że jego naturalistycznej wizji świata nie zdołał usunąć czy siły jej ostateczny element Łaski, wprowadzany nieraz jakby tylko „ad usum Delphini”.

Różne przyruchy złożyły się na ten naturalizm. Nie tylko religijne. Nie tylko dlatego powieści Mauriac’a są tak naturalistyczne, że większość ich powstała w okresie powolnego rozwoju pisarza, naznaczonym ciężkimi zmaganiem wewnętrznymi, nie niejedna z nich rodziła się w chwili, w którą wtargnęła „ciemność, sprzyjająca zasadzkom zła”. Także dlatego, że na Mauriac’a oddziaływały wielkie naturalistyczne tradycje literatury francuskiej. Odpowiadały one jego własnej organizacji pisarskiej, aktywizowały w nim to, co stanowiło jego się jako artysty, zgodne były z naturą jego wrażliwości, z jego sposobem przeżywania rzeczywistości zmysłowej, z jego temperamentem itd. Gdyby Mauriac wyrzekł się całkowicie tej metody, prawdopodobnie przestałby być sobą. Może zastąpiłby tylko autorem książek takich, jak „Cierpienia i szczęścia chrześcijanina” czy „Bóg i mammona”. Jego język utraciłby również wiele ze swej niesłychanej sugestywności i plastyczności. Rzecz jasna, stanowi to także źródło jego błędów artystycznych. Ale to już inna sprawa.

Z naturalizmem spotykamy się również u Giana Gravena, który zresztą wzorował się na Mauriacu. Jest u niego jednak coś więcej: jest traktowanie życia empirycznego jako niemożliwe, bensensu i ohdy. Nie można się dziwić, że kwiesionuje się często przynależność powieści Gravena do literatury katolickiej. On sam nie ma co do tego wątpliwości — że nie należy do niej. Ostrożną nawet, by nie stosowano do jego książek kryteriów ściśle filozoficznych czy teologicznych, by nie dokonywano z takimi kryteriami w ręku analiz przedstawionych w jego powieściach doświadczeń religijnych. Nie pragnie on być niczym więcej niż tylko pisarzem (nie jest to wcale mały, w zaan, m w pa,ku, teologii, misjonarzem. Określa siebie jako pisarza, który jest katolikiem, nie zaś jako pisarza katolickiego.

Oczywiście i jego nihilistyczny obraz świata i człowieka jest ściśle związany z jego organizacją psychiczną i artystyczną: przede wszystkim z przeżyciami z okresu dzieciństwa, w którym, jak sam wyznaje, nekaliśmy go ustawicznie koszarne strachy, z wpiwami wyobrażeń środowiska angikańskiego i pułkińskiego oraz ateistycznego otoczenia nowoczesnej burżuazji, z której się wywodził, wreszcie z typem wyobrażeń, typem apokryficznej sw. a. a. Diabeł „katolicyzm” książek Gravena jest tak problematyczny. Ale ostatecznie „katolicyzm” dzieł Claude-

ła jest również bardzo przesycony subiektywizmem.

8

ISTNIEJE również zjawisko odwrotne: utwory katolickie (nieznaczne z całą problematyką, jaką to określenie zawiera) napisane przez autorów niekatolickich. Przykładem: „Pieśń o Bernadecie” Franciszka Werfla i poezje oraz dramaty Eliota. Wymienione utwory poruszają integralną problematykę katolicką i podejmują ją w sposób nie budzący na ogół zastrzeżeń z punktu widzenia nauki Kościoła (np. zagadnienie świętości, cudów, objawień). Ich autorzy, choć nie żyli sakramentalnym życiem Kościoła, przyswoili sobie jego nauki, wniknęli w jego klimat duchowy.

Ale są też pisarze, którzy nie przeżywają w kręgu bezpośredniego oddziaływania katolicyzmu, nie będąc z nim zespoleni duchowo, stworzyli dzieła posiadające w mniejszym lub większym stopniu elementy katolickie. Do pisarzy tych można zaliczyć Goethego jako autora „Fausta”, gdzie mamy koncepcję zła przedstawioną zgodnie z nauką Kościoła i głębokie przeżycie pierwiastka maryjnego jako czynnika dobroczynnie kształtującego życie ludzkości.

Można nawet mówić o „katolicyzmie” Balzaca. Krytyk tej miary, co Albert Thibaudet, pisze, że „założenia światopoglądowe „Komedi Ludzkiej” są założeniami chrześcijańskimi, założeniami świata, w którym istnieje diabeł i istnieje piekło. Choć Balzac nie posiadał wiary, ujął jednak „Komedie Ludzką” tak, jak ujął ją pozostała „Boska Komedja” — po katolicku, przy czym porządek metafizyczny świata stanowi jedną z porządkiem społecznym. Katolicyzm w jego recepcji nie ma nic wspólne z zapachem pustego flakonu, z bladym i rozcieńczonym „katolicyzmem” Chateaubrianda czy Renana: Balzac ze swym dobrym h m o r e m i ze swą teźnością, pelen jest Boga, ponieważ pelen jest bytu... Nie ma takiego punktu widzenia, z którego „Komedja Ludzka” wydawałaby się nam bardziej zrozumiała niż punkt widzenia Boga”.

Też te ilustruje Thibaudet przykładem „Ojca Gorio”. Gdy zdaniem Balzaca w tym właśnie dziele sięgnął najgłębiej misterium twórczości, misterium ojcostwa. Wyznania Gorio: „Kiedy zostałem ojcem, pojąłem Pana Boga” sprowadza nas (według Thibaudeta) do samych źródeł twórczości balzackowskiej: „Obecność Boga, zgodna na Boga są również oczywiście, i w sobie niezbędne, równie absolutne w dziele Balzaca... jak nieobecność, nieistnienie Boga w dziele Prousta stanowiącym sąd nad światem, który znajduje się w toku samozniszczenia”.

Dojamy, że Albert Thibaudet operując z własnych oświadczeniach Balzaka uważa traktowanie tego pisarza jako materialistę i sensualistę za nieludzkie i stwierdza, iż krytyka współczesna od Curtiusa do Belessorta nie podziela już tego rodzaju poglądów.

Pierwiastków katolickich dopatrywać się można również w takim pisarzu, jak Franciszek Kafka. I nie bez powodu dzieła jego nie przestają być ulubionym przedmiotem katolickich egzegez teologicznych i literackich. Wielkie tematy jego twór-

czości stanowią: wina, lęk, cierpienie, są — i to w sensie metafizycznym. Przenika ją tęsknota za zbawieniem świata, za wyzwoleniem człowieka ze zła i cierpienia, za bytem doskonałym. „Bez trwałej wiary w rzeczy niezniszczalne nie mógłby człowiek w ogóle żyć” — stwierdza Kafka w swych rozważaniach pt. „Grzech i cierpienie”.

Nie ulega jednak wątpliwości, że postawa ta akcentując i rozwijając wymienione wyżej pierwiastki katolicyzmu a pomijając inne, najściślej z nimi związane, jak wiara, nadzieja, miłość, radość, jest w równej mierze katolicka, co niekatolicka. Istotny był przy tym ten moment, że pisarz stanął pośrodku drogi między judaizmem a protestantyzmem i do końca życia zmagał się z tym bolesnym rozszepieniem duchowym.

W każdym razie można powiedzieć, że twórczość pisarzy takich jak Kafka stanowi przedproże katolicyzmu. To są naczynia, w których w pewnych okolicznościach dałoby się wypełnić treścią katolicką.

Zdawałoby się, że trudno o utworzyć bardziej afirmujące pełnię i wyłączonej satysfakcji z rzeczywistości doczesnej i zmysłowej, bardziej amoralne — niż powieści Colette. Tymczasem Mauriac nazwał właśnie główne powieści tej autorki „Chéri” i „La fin de chéri”, książkami katolickimi. Dlaczego? Posłuchajmy wywodów pisarza na ten temat: „Colette ze swymi starymi kurtyzanami, z tym pięknym chłopcem, zwierzęciem i niedźmim, pokazuje nam — budząc niemal grozę — efemeryczny cud młodości i zmusza nas do odczuwania tragizmu tych załozonych żywotów, które wszystko kładą na szalę miłości tak przemijającej, tak silnie podlegającej zepsuciu, jak sam jej przedmiot: jak ciało”.

Taką więc kwintesencję można by wydobyc z tej twórczości po zapuszczeniu w nią głębszej sondy moralistycznej. Colette spełniłaby mimo woli funkcję katechetyki, która wtajemnicza czytelników we wszystkie uroki i radości świata zmysłowego zaszczępiłaby w nich uczucie niedosytu, „pustki i nostalgii, a tym samym sposobilaby ich dusze do przyjęcia prawdy wiary. Ostatecznie to właśnie był jedną z głównych dróg, które przywiodły św. Augustyna do katolicyzmu i do świętości.

9

PRZYKŁADÓW relacji wzajemnych i zaobów literatury katolickiej z niekatolicką można by znaleźć wielką liczbę. Dowodzą one, że mimo istnienia substancjalnych różnic granice są często bardzo płynne.

Co więcej: jeśli się pominie kryteria filozoficzne i religijne a zastosuje kryteria etyczne, to wyłoni się przed nami rozległe obszary, na których z wielką swobodą, z dobrym samopoczuciem i we wzajemnej przyjaźni z sobą poruszać się będzie rój postaci literackich reprezentujących — nawet najbardziej sprzeczne kierunki — czy postawy światopoglądowe i ideowe. Na tym literackim *nonan’s lane*że spo kają się z dziełami podejmującymi integralnie katolicką problematykę, jak utwory Conrada. (któremu obce były religijne przeżycia katolickie, a nawet w ogóle chrześcijańskie), jak „Nędznicy” Wiktora Hugo, jak

„Bracia Karamazow”, „Skrzydzeni i ponizeni”, „Zbrodnia i kara” czy „Idiota” Dostojewskiego (tak wrogo usposobionego wobec Kościoła katolickiego), jak „Zmartwychwstanie” Lwa Tołstoj, (który potępiał w ogóle instytucję Kościoła), jak „Jan Krzysztof” Romain Rollanda, przedmiot żarliwego kultu m.in. dla znanego katolickiego pisarza francuskiego, Gilberta Cesbrona, który powiedział: „My (tj. R. Rolland i Cesbron) pochodzimy z tej samej ojczyzny, z ojczyzny Chrystusa”.

Wypowiedź Cesbrona kojarzy się z poglądem, szczególnie silnie podkreślonym przez Maritain, że wszelkie niewątpliwie dobro choćby nawet było realizowane przez ludzi obco lub wrogo usposobionych do chrystianizmu, wywodzi się z posiewu Ewangelii, a zatem zasługuje na bezwzględne poparcie ze strony chrześcijan.

10

PORA na konkluzję. Parafrazując słowa profesora Romana Ingardena, dotyczące określenia różnicy między dziełem sztuki literackiej a nieliterackim, mi tworam piśmiennictwa, najgłośniejszy wynik naszych wywodów na temat literatury katolickiej moglibyśmy ująć w ten sposób: „Nie należy z góry podawać żadnej definicji literatury katolickiej, która by w schematyczny sposób wyznaczała ostrą granicę między nią a literaturą niekatolicką, gdyż takiej ostrej granicy właśnie nie ma, a nado, że — jeśli w ogóle mamy się starać o uzyskanie określenia literatury katolickiej — to możemy je zbudować dopiero po wyczerpujących i wszechstronnych badaniach, nie zaś na początku badań przez takie lub inne konstrukcje pojęciowe, nie licząc się z faktami.”

Ale dodajmy również zastrzeżenie prof. Ingardena: „Niestnienie takiej ostrej granicy nie wyklucza wcale istnienia granicy w ogóle...”

Unikając zatem w ogóle słowa „definicja” jako zbyt wiele w danym wypadku obiecującego i niewłaściwego można wyliczyć elementy, które moim zdaniem decydują o zaszeregowaniu danego dzieła do literatury katolickiej.

Literatura katolicka jest to literatura, która:

- 1) uznaje jednocześnie realność, bytu doczesnego i nadprzyrodzonego, czyli stoi na stanowisku dualistycznego realizmu ontologicznego;
- 2) uznaje byt nadprzyrodzonego nad bytem doczesnym;
- 3) troszcząc się o możliwie najbardziej realny, wierny i wszechstronny obraz namiętności, uczuć i dążeń moralnych człowieka wyprowadza je lub też sprowadza do zasadniczego źródła: do tęsknoty za bytem doskonałym, za zbawieniem wiecznym;
- 4) wyraża wiarę w sens bytu i w sens istnienia oraz w ponadczasową, niepowtarzalną wartość każdej jednostki ludzkiej;

5) wypływa z miłości człowieka, pojętej zarówno indywidualnie jak i społecznie, i miłość tę inspirowa, jest więc jedną z postaci realizacji najwzniejszego przykazania Ewangelii;

6) opiera się na zasadniczych pojęciach chrześcijaństwa: odkupienia, dziecięctwa Bożego człowieka, grzechu pierworodnego, na wierze w Zbawiciela i Jego śmierć odkupicielską na krzyżu oraz na pojęciu pokuty.

7) daje wyraz przeżyć (a nie tylko intelektualnego przyswojenia sobie) głównych pierwiastków religii katolickiej, takich jak nauka o Kościele jako *corpus mysticum Christi*, jak sakrament małżeństwa, sakrament kapłaństwa, dogmatu wcielania, kosmologii itd.

Utwory literackie, spełniające wszystkie lub niektóre warunki, wymienione w punktach 1—5, nie należą jeszcze ściśle biorąc ani do literatury chrześcijańskiej, ani do katolickiej, gdyż mogą dawać wyraz również pozachrześcijańskim kierunkom światopoglądu teocentrycznego. Natomiast utwory transponujące na język sztuki wyłącznie pojęcie, wymienione w punkcie 6-ym, należałyby określać mianem ogólniejszym, mianem chrześcijańskich, gdyż mogą dawać wyraz również niekatolickim kierunkom myśli chrześcijańskiej. Jedynie utwory, wkraczające w orbitę zagadnień i zjawisk, wymienionych w punkcie 7-ym, należałyby nazywać mianem „katolickich”.

Oczywiście, o „katolickości” danego utworu można mówić zawsze tylko w sensie względnym. Chodzi nie tylko o stopień jego zgodności z nauką Kościoła i o stopień głębokości wyrażonych w nim przeżyć elementów katolicyzmu, ale także o to, że w samym procesie transpozycji artystycznej tkwi zawsze nieuchronność pewnej deformacji i redukcji bądź też dowolnej konstrukcji wyrażanych prawd i zjawisk. Dlatego nie zawsze i nie dla każdego przynależność danego utworu do literatury katolickiej będzie równie oczywista. Niekiedy dla odczytania głębiej utajonego i najistotniejszego sensu utworu równie ważne a może nawet ważniejsze niż to, co autor napisał, może okazać się to, czego nie napisał, a co jednak mieści się „między wierszami”, co z utworu emanuje.

Każde prawdziwe dzieło sztuki jest wieloznaczne i „wieloznacznowe”, a szczególnie dzieło katolickie, niejako „*ex professo*” opierające podwójnym dnem. Stąd otwiera się pole do dyskusji wyjątkowo rozległe i nigdy nie zamknięte.

* Nawrócenie się Werfla na katolicyzm tuż przed śmiercią jest legendą, dawno już zarzuconą na Zachodzie z powodu ujawnienia niektórych faktów, które dowodzą, że Werfel do końca życia dochował wierności judaizmowi.

Zapałki

Słowa — zapałki łamliwe
w zamrzniętych palcach.

Z uśmiechem niedobrym się bawisz.
Układasz wzorki
okienka wielokąty.
Wieszysz mnie w nich
z uśmiechem.

A później
beztrosko je łamiesz.

A mnie się nigdy nie zgadza
ich liczba.
A ty się zawsze wymykasz
otwartą ścianą.

Żadna z nich już nie zapłonie.
Więc o radości z rąk Twoich
czystej jak ogień
nie napiszę.



Fanfara nocy

Co poświęcone zostało techniem miłości
wolne przelewa się tajnymi przechodami
na tamtej stronie obwody
gdzie się zespala jak wonie
z ukochanymi co śnią już.

Novalis — „Hymny do nocy“

Was już nie trzeba do życia zachęcać
z gliną rozmiękną kośćmi stulenia.
Nie dla was — nie dla was — fanfara błękitna
z trąb października mosiężnych.

I nie dla mnie także. Bo jednak
mamy uszy i wargi zamknięte
na dziesięć tysięcy
skobli kropel deszczu.

Lecz ja nie potrafię
wyrzec się ciepła krwi.
I wciąż jeszcze pragnę powietrza i ust
i szukam wciąż tego
co w dłoniach waszych spoczywa.

Spowiadam się wam — umarli
o porankach żółtych — chybotliwych liśćmi
Skrrywając przed sobą
bezsenną twarz.

Uzbrójcie moje dni w ogień nadziei,
Kłęczący — w obłoku wonnym śmierci nagłej
wy — którzyście kiedyś także
opadali w sny nie do spełnienia
Aż obudził was głos dziewczęco-anielski
I z upadłych uczynił kłęczącymi wysoko.

Mój ból składam w wasze dłonie
jak przedmiot który już sobą być przestał.
Błogosławię go teraz.

On mnie wypłoszył ku wam
w noc żywą — twarzami zwróconym.
W noc wołającą.
Głośną jak miliard bijących serc.

I
jak jedno jedno — tylko jedno
moje
którym kogś
ukochałem.

Ballada

Ona czekała długo. Ona płakała często
Ona nigdy nie chciała zrezygnować
wyrzec się marzenia. Przebiegały dni
tupotem ciężkim jej żarliwość plosząc
Nie zmieniła się czas pustynny.

Ona już wtedy gdy z teczką chodziła raniutko
nie chciała przyjmować pocałunków
pachnących tytoniem oraz ironią
ust ścigających dziś — tylko dziś — chłopców
Uciekała z książką w samotność.

A gdy później schylona nad maszyną
słuchać musiała jak grzechoczą o ściany
bryłki śmiechu tłustego jak brud ulic
po „świetnym kawale“ pana kierownika
opuszczała drżące powieki do stóp.

Wiernie wchodziła w nawy niedzielne
już z dala witając wieże dzwoniące
Tam był ulokowany kapitał
nadziei nieśmiałej jak jej twarzyczka jasna.
Tam rozmawiała z Przyjacielem czystych.

Miasto oddychało mocno kiedy wolno szła
z palcami zacisniętymi na torebce
Gorące tchnienie tylu spraw ludzkich i uczuć
drzało w niej poblądłej tysiadcem ech
Była wyłączona z powszechnego przeżywania.

Na płótnach ekranów, na deskach scen
działo się to, czego jej odmówiono tak srogo
Czy szczęście jest niedościgłe jak dzień każdy miniony?
Czy życie ma być aż do końca tylko czekaniem?
Świt buntu. Na płatkach jej warg — krwi kropelki.

Później były wieczory kiedy już chciała
z którymś z przygodnie spotkanych w parku pozostać
w krzewach ciałom zwierząt i ludzi przychylnych
i zemstę wyrzec w ten sposób na losach
Ale nie potrafiła nawet i tego...

Wtedy przestawała wierzyć już w cokolwiek
Z radością słuchała przekleństw i ziorzeczeń niebu
tych którzy byli męki pełni jak ona
Ale mijała noc i na nowo
światło tryskało na ręce wzniesione nad proch godzin.

*

I teraz — spleciona węzłami nieba i ziemi
krwi i cichych zakątków serca — pozostaje
w rozchwianiu się dróg które połączyć tak trudno
wie wiedząc co czynić w daremności słów i zaklęć
patrzy w pokorze i buncie na przekwitanie ciała.

Spotkanie z Lemuelem

Ince Derkowskiej

Zbyt mądra wieczności — pozwól mi abym przeżywał mój dzień
i nie nazywaj mnie już Lemuelem, bo tam
wśród nocy słonecznej wyspy nawołują...

Oscar Miłosz — „H“

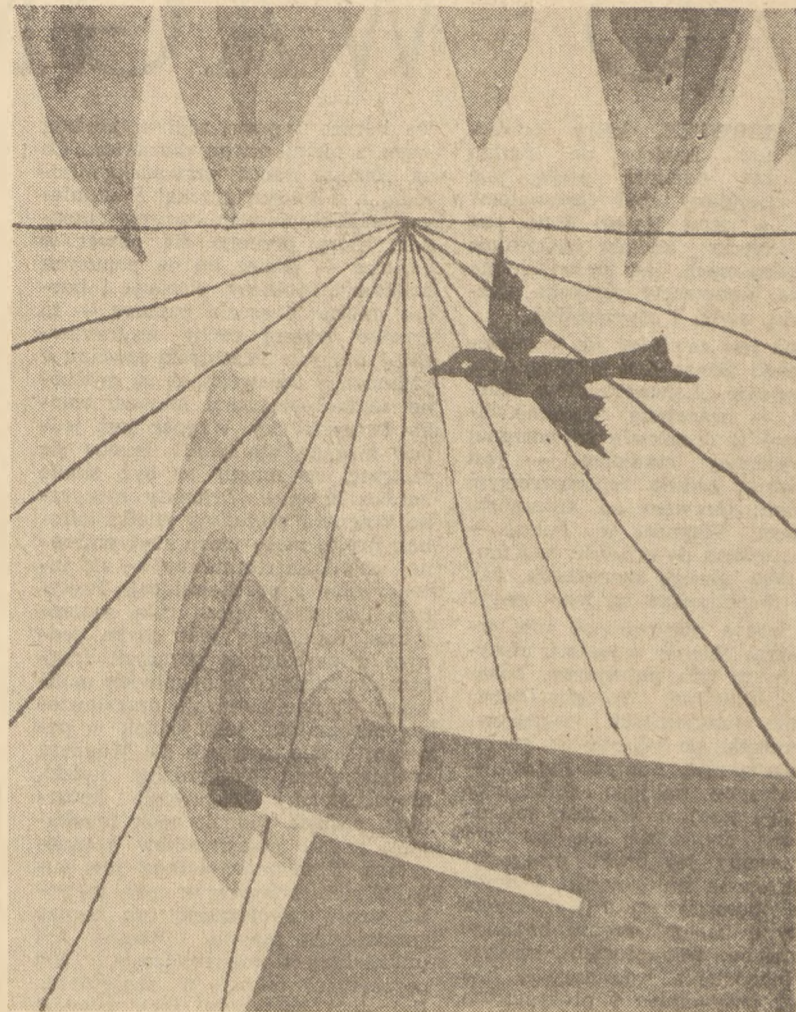
Spotkaliśmy się na ścieżce
gdzie piołun mięta cierpka
i ciche dobre niezapominajki.

Powiedziałeś mi:

Miłość jest wielką pustynią
którą idziesz zawsze samotny.
Wokół płomień i susza
A w tobie płomień i źródło
niewysychające.

Dlatego nie możesz umrzeć
długo.

Idziesz za tą którą miłujesz.
A im dalej w pustynię
im płomień w tobie większy
tym bardziej się ona
oddala.



Mirażem
— tylko dla nas prawdziwym —
jest miłość.

Jest ona śpiewem węża
zakłętego w drzenie piasku pod stopą
Ziarenko każde: języczek ostry.
Czy chłód czy płomień
ból w tobie.

Zrywając listek
błękitnego ziela pamięci
wiernej
odchodzisz w ogrody
smutku i milczenia ptaków
tęskniących za nocą.

*

Wierzę ci — Lemuelu.
Lecz miłość
cierpienia kamienną galerią
w bezkresność unosi
więc: szczęście.

Jesień pożegnania

Ścianami rozchwianych liści
nadciga pluszcząc ocean świata.
Spiralą nagłą pragnienie
unosi się w milczenie nieba
w błękit nad uwiedlymi wrzosami.

Czystość poranków olśniewająca
podróźników w pajęczych nitkach
Miły stuk grusz o ramiona wzgórze
o czepki kretowisk i gałązki suchutkie
słodki sok spod rozdartej skórki.

Uderzenia czubkiem zdartych latem butów
w kolczatki kasztanów. I kamień starty
dłońmi wiatru — gdzie spocząć dobrze
w oczekiwaniu na ukochaną
której nie ma jeszcze.

Cienie — zimne pocałunki skroni
zapach korzenny lepszy od kawy
trawa spod kroków ścichłych przyjaciół
domek czerwony jak obłany winem
a to słońce to blask rozstajnej jesieni.



WAGNERZE IRONICZNIE

PIERWSZY, który porównał kobietę do kwiatu był wielkim poetą, ale następny był „cymbałem” — pisał Heine. Mało jest rzeczy równie natrętnych i uprzykrzonych, jak wyświechtana poetyka. Konwencja poetycka przejada się, nudzi i niecierpliwi.

Łatwo jest zawładnąć się w sprzecznościach pisząc dziś o Wagnerze. Wystawienie „Lohengrina” w Warszawie — pracowite, staranne, utrzymane w doskonale odtworzonej eszlowicznej manierze — jest wprawdzie jakimś repertuarowym sukcesem: pierwsza od kilkunastu lat opera Wagnera w Polsce — skłania jednak do refleksji nad muzyką tego starego czarodzieja. Jak dalece współczesne są jego czary?

Nie trzeba przypominać roli, jaką odegrał Wagner w historii muzyki. Była to rola patetyczna, bohaterka, burzliwa. Po czytowanym nasileniu aktualności wagnerowskiej muzyki, po fali reakcji, po fali naśladowców, kontynuatorów — dziś patrzymy na jego sztukę bezstronnie i trzeźwo. Widzimy jej historyczną doniosłość, ale zarazem spore braki, przerosty, niezamierzone śmieszności. Mitologiczna obora Wagnera wypełniona brodatymi bogami, tegimi boginiami, karłami, wielkoludami, smokami i ląbiedziami, jego muzyka hałaśliwie porywająca i programowo rozwrzeszczana — wydaje się niekiedy dziwnie archaiczną i dziwnie prymitywną. Mimo odważnych i odkrywczych — w skali XIX wieku — srodków muzycznych, ze sztuki Wagnera przebiega sposób myślenia dość odległy od tego, co nazywamy współczesnością, współczesną konwencją.

Dlaczego muzyka Wagnera była tak długo zakazany owocem? Wdziano w niej wcielenie germańskości w najgorszym sensie, prawie wcielenie faszyzmu. Czy słusznie? Trudno wymagać od niemieckiego kompozytora, aby przestał być niemiecki. Nikt tego nie wymagał od Wagnera. Doczepiono tylko do jego muzyki balast przesądów, uprzedzeń, zastrzeżeń, a że była szczególnie ulubiona przez parteimantów — dyskwalifikowało ją to w naszych oczach. Pozbawiono nas w ten sposób jednego z najbardziej oryginalnych i odkrywczych kompozytorów, pozbawiono ognia prowadzącego od klasyków do nowoczesnej muzyki. Zapomniano, że oprócz apoteozy germańskości twórczość Wagnera to nie tylko wrzask Wotana i krzyki Brunhildy, ale szlachetność Tristana czy Parsifala i dobrze, głęboko pojęta niemieckość „Mistrzów Śpiewaków”.

Wagner ma opinię kompozytora trudnego, a muzykę jego nazywa się zwykle — ciężką. Jest to dość usprawiedliwione w stosunku do „Pierścienia Nibelungów”, gdzie nieskończenie wlokące się tematy muzyczne, ponure pomruki orkiestry wtórują pętającym się po scenie stworzeniom. Charakter tej muzyki odpowiada jednak dobrze ponurym germańskim sagom, na których oparte są dramaty Wagnera.

Te bardzo typowe sagi wyjawiają wiele z niemieckiego charakteru. Co za różnica między germańską mitologią a mitologią grecką! Południowa lekkość, dowcip, zdrowy rozsądek, który przebiega się nawet w bajkach — gdzie im do ponurych bohaterów polnoicy. Powaga i bardzo mierne poczucie humoru — to typowe zresztą cechy wagnerowskiej muzyki. Przebrzydliwy dowcipu w „Mistrzach Śpiewaków” są mierzone chyba poczuciem humoru smoka Fałnera. Czy Wagner jest jednak muzyką dla słoń? Trzeba się zastrzec, że muszą to być słońce bardzo liryczne. Dramaty muzyczne Wagnera posiadają wielki ładunek liryczny, może nieco zbyt wylewny, chwilami rozmarzony — ale intensywny i przekonujący. Partytura „Tristana” poza całą romantyczną egzaltacją jest chyba jednym z najbardziej gorących fragmentów muzyki kiedykolwiek napisanej. Tristan ze swoją przysłowiową chromatyką jest jednak w pełnym sensie utworem dla Wagnera wyjątkowym. Najbardziej ludzki, niepozabawiony wprawdzie koturnów, posiada jednak urok urzekający nawet przeciwników kompozytora. Tych przeciwników jest dużo. Zaden kompozytor nie wywołał swojej twórczością tak bardzo sprzecznych reakcji. Wagner był ubóstwiany i nienawidzony. Nie pozostawiał nikogo w obojętności. Był dość hałaśliwy, żeby zwrócić na siebie uwagę i dość rewolucyjny, żeby ta uwaga była usprawiedliwiona. Nie miewał się we współczesnych kanonach, więc stworzył własne. Jego dramaty rozsądzały — dosłownie — współczesne sceny, więc zbudował teatr dla siebie. Był bezspornie człowiekiem pełnym fantazji i bardzo rozsądnym fantastą.

To, co dawniej szokowało u Wagnera, dziś przyjmuje się jako rzecz normalną, z podziwem dla jego odwagi albo z pobłażaniem dla jego częstego braku smaku. Wagner szczęśliwie łączył ten częsty brak z ogromną siłą. Takie fragmenty jego dramatów, jak kucie miecza w „Zygfrydzie” przestają być muzyką — stają się apoteozą brutalności i siły. Trudno powiedzieć, że ta muzyka porusza — ona wstrząsa. Słuchając pieśni Zygfryda czuje się fizyczny ból, a duet z karłem Mime jest prawie nieludzki w swojej bliskiej prostactwa, rykliwej ekspresyjności. Niemniej jest to duet godny podziwu; to cały Wagner. Podziwiać należy, że człowiek zdolny do takich rzeczy — prawdziwy czarodziej „Nibelungów” — potrafił wykreślić z siebie żarliwość i liryczność Tristana. Wagner jest Niemcem w „Nibelungach”, ale jest wielkim, prawdziwym człowiekiem w Tristanie.

Bardzo wiele elementów w dramatach Wagnera ściśle wiąże się ze współczesną mu konwencją operową i teatralną. Wagner jako twórca w ogóle dojrzał do mału. „Tannhäuser” powstał, kiedy Wagner był 32-letnim, dość korpulentnym mężczyzną; Schubert w tym wieku już nie żył. Wewnętrzne życie Wagnera rozwijało się w tem-

ple równym partiom Wotana w „Zmierzchu Bogów”. Ciężko, rozlewle, przytaczająco, potężnie.

O ile wczesne — nie wystawiane — opery Wagnera noszą silne włoskie czy francuskie piętno, a nawet uznana oficjalnie w karierze Wagnera jako pierwsza „Rienzi” jest bardzo nie wagnerowska — w dalszym rozwoju mimo ogromnej oryginalności Wagner nie ustrzegł się — typowych dla swoich czasów i swojej rasy — błędów. Wagner kochał patos, kocha wylewność, kocha sentymentalizm. Jego okliwość jest chwilami prawdziwie słońcowa. Jak bardzo rozumiał jest wstręt chociażby Debussy'ego do jego muzyki. Ten wstręt nie wykluczył przy tym tego, że Klaudiusz uważnie czytał wagnerowskie partytury i dużo się z nich nauczył. „Mogę się tobą brzydzić, ale nie przece, że jesteś wielki” (to nie są słowa Debussy'ego).

Wszystko, co nazywamy przestawiając XIX-wieczną konwencją, zo-

stało znakomicie pokazane w Operze Warszawskiej. Wydawałoby się, że w każdej dziedzinie sztuki twórcy powinni już pojąć, że wiele spraw, które sto lat temu były bardzo poważne, namaszczone, twórcze i artystycznie prawdziwe — dziś wydają się śmieszne, szokująco naiwne, nieświadomie parodiując sztukę. Tegawo, starannie ubrany w sztuczne srebro i prześcieradła Lohengrin przejeżdżający czółenkiem ciągniętym przez tresowanego ląbedzia i wycaiskający ze ściśniętej krtani „kocham cię” do Elzy, jest postacią bliską szopce, nie współczesnie pojętej operze. Przypuszczam, że gdyby Lohengrin był wystawiony kilka lat temu troska o óle pojęty realizm byłaby jeszcze większa — z Łazienek wypożyczonyby prawdziwego ląbedzia. Murzyńni w Gershwinie przywieźli ze sobą kózę, my mielibyśmy ptaszysko.

Nie chcę parodiować tej częściowej parodii, jaką jest chwilami „Lohengrin”. Wiem, że za tym przed-

stawieniem jest ogromny wkład pracy, szczerego wysiłku i dobrej woli. Trudno jednak nie krzywić się na tak głęboko — widocznie — tkwiące tradycje ziego smaku i arcy-mieszczanśkiej sztuki. Już samo wizualne wrażenie jest raczej przgniatające (nie dla wszystkich widzów). Trzcina w pierwszym akcie jest na pewno trzcina prawdziwa, szeleszcząca w taki sam sposób jak kiedyś — w X wieku — w czasie akcji Lohengrina. Przysięgłbym, że dekoracja II aktu jest wykonana z prawdziwego kamienia, chciałoby się wejść na scenę i zastukać w mury romansowego zamku. Zresztą nie tylko tam chciałyby się zastukać.

Znow spotka mnie zarzut jednostronności i absolutyzacji. Przystając krytykować i będę pisał o pozytywnych cechach warszawskiego przedstawienia. Nie wiem po co potrzebny był tłum brodatych, pętających się po scenie germańskich wojów, bardzo przyzwyczajonych do muzyki, a nie panoptikum ubranych, ale w ostatnim ak-

cie dochodzi do głosu prawdziwa wagnerowska liryczna, żarliwość i piękno wagnerowskiej muzyki. Dwie śliczne pieśni Lohengrina, w tym inwokacja do ląbedzia, to już wielki nie zafalszowany Wagner. Liryczny, trochę łązawy, intensywnie niemiecki. Tylko po co ta dosłowność w interpretacji Wagnera. Współczesna sztuka operuje symbolem i skrótem, nie konieczności wymaga tresowanych ląbedzi i tataraku. Ostatnie interpretacje Wagnera Bayreuth dają dobry przykład tendencji współczesności tego na pewno wielkiego muzyka. Oglądając i słuchając Lohengrina w Warszawskiej Operze, tęskni się do umownej włoskiej opery z jej artystycznym zdrowiem, dowcipem, ciągłym mruganiem okiem do słuchacza: „Panowie, to jest sztuka, nie chcemy kopiować życia — chcemy je pokazać w skrócie, intensywnie, artystycznie, prawdziwie.” Wagner to muzyka, a nie panoptikum.



Wariacje na temat „Lohengrina”

rys. Gabriel Rehowicz

Kosztowny dowcip czyli koniec atrakcyjnej tandety

ZYGMUNT LICHNIAK

TO źle, że musimy pisać o „Złym”. To źle, że na tyle słabnie wśród naszych rodaków poczucie humoru, iż my — ludzie pomurzy, krytycy literacy — musimy wyjaśniać dosyć kosztowne, ale udane dowcipy. Złe dla nas, źle dla „Złego”, lecz dobrze dla Tyrmanda, bo — jak mówił ongiś Koźmiewski — niech piszą, jak chcą, byle z nazwiskiem. Zawsze się opłaca.

Uważam, że Tyrmandowi udało się dowcip. Kosztowny, bo kosztowny, ale — ostatecznie — płaci „Czytelnik”, a zakupiono sobie z czytelnika. Ponieważ należą do ludzi pozbawionych całkowicie poczucia humoru, postanowiłem zepsuć dowcip pt. „Zły” i wyjaśnić w swój sposób na czym polega luksusowy eksperyment Tyrmanda.

Po przeczytaniu 679 stron machinietnej w ciągu półtora ksiądzki doszedłem do następujących konkluzji, dotyczących pisarskich założeń autora „Złego”.

Powiedział sobie — według mego domysłu — dowcipny Tyrmand mniej więcej tak: zrobię kawał! zarobię na kawale sto kilkadziesiąt kawałków! I zrobił. I zarobił.

A kawał — moim zdaniem — polega na tym, że zakupił sobie Tyrmand z „Czytelnika” i z czytelnika. I — o dziwo! — udało mu się.

Na mój pomysłunek tylko następujące założenia uzasadniają książkę Tyrmanda, taką, jaka ona jest:

powiedział sobie (jak przypuszczam) Tyrmand, że w literaturze polskiej jest ostatnio nudnawo, że istnieje zamówienie na Conan Doyle'ów, Wallace'ów, Marcezyńskich i Nasieleskich, których trzeba podać sosem à la Polska Ludowa; powiedział sobie, że warto zaryzykować eksperyment sprrowadzający się do twierdzenia, iż zła książka, kiepsko napisana książka, taniutka w pomysłach i taniutka w wykonaniu a przede wszystkim taniutka w odbiorze książka może wśród mocznych, mądrych, trudnych książek zrobić furorę.

Bo — myślał sobie bardzo psychologicznie autor „Złego” — ludzie chcą książek, które nie mają ambicji artystycznych, nie mają ambicji intelektualnych, schlebiają zainteresowaniom, kokietują sentymentem, szantują „palącym problemem”. No i — jako, zdaje się, facet dowcipny — postanowił napisać taką książkę. Napisał. Wydał. Dowcip wyszedł.

Wydaje mi się, że niemal wzięły receptę, według której w ciągu sześciu miesięcy przetrwał ten swój udany kawał. Oto w przybliżeniu ta recepta.

Odrzucić na wolnym ogniu tradycję popularnych „kryminałów”. Zaktualizować ją w tzw. palącą plagę społeczną. Zdemontować tę plagę do granic „mafii” z filmów włoskich. Wlać w to pół litra tajemniczości możliwie najtańszej produkcji, przypominającej przedwojenne wydania 10-groszowych zeszytów „Lorda Listera” lub — dla bardziej wymagających — wydania 95-groszowych tomików Maurice'a

Leblanca o Arsenie Lupinie. Do tego dolać kilka hektolitrow „goidy”, którą powinni wypić bohaterzy książki. Trochę wódki. Ociupinkę seksu, majątek, biustonoszy i tych rzeczy. Zagrać na jakimś sentymencie lokalnym. Najlepiej — ze względu na położenie centralne i łatwą dostępność reżii — na sentymencie warszawskich rodaków. Dobrać do humoru i poganiać Makuszyńskiego i Wiecha. Posolic lekko makabra, ostodźc moralnym mityczno-państwowotwórczym. Wszystkiemu zalać wodą. Duzo wody. Dziennikarskiej, stowolejskiej. Zeby papki było na przeszło czterdzieści arkuszy. To się kalkuluje. Nie między konsumenta i ludności. Dać mu to, co nie wymaga grzybnienia, co łatwostrawne, co literacko nijakie. Catość gotować do momentu, kiedy w stolówce ogólnoliterackiej zabraknie dobrych, pożywnych potraw lub, gdy te dobre i pożywe potrawy przejdą się wskutek nie zmieniania jadłospisu. Podawać z dyskretnym uśmiechem: „U nas obituś sprawną, szybka i tania!”

Zdaje mi się, że widzę, jak autor „Złego” na marginesie tej recepty kreśli z dowcipnym uśmiechem uwagi dla wtajemniczonych: zaakcentować jakimś fragmentem, który mogłoby się napisać lepszą prawdziwą historię, odciąć się od całkowicie matym dystanskiem epickim, dać lekko do zrozumienia, że koniec i bomba, kto czytał a, uwierzyl i wziął całą robotę na serio — ten trąba.

Jestem pełen uznania dla dowcipu Tyrmanda. Uważam, że kawał się udał. Receptę — lub raczej prze-

pis kucharski — wcielono w odpowiedni najdrobniejszy nawet zaleceniom czyn (ba, wyczyn niemał!).

Tradycja „kryminałów” jest? Jest. Paląca plaga społeczna jest? Jest. I trochę zdemontowania afery chulihańskiej i tajemniczość. Woda jest? Bardzo jest. Miłość? Także. Szekiel też. Sentyment pod warszawskości? Mnóstwo. A humorek? Zdarza się. Makabra? A jakże: kilka rozbitych butelek wgniecionych w twarz „kiziorów”. Woda? Ba zalew! Nikogo tu się nie męczy ekstraktami literackimi.

Nie zapomniano i o uwagach marginesowych. Robota na medal. Bo proszę.

Książkę Tyrmanda — chociaż jest bardzo grubasna — każdy, kto ją zacznie, musi doczytać do końca. Wciaga. Interesuje. Ba, niektórych porwya. To znaczy: odpowiada jakimś potrzebom czytelniczym. Zadałbym sobie pytanie: jakim? Przypadkowo znalazłem odpowiedź w powtórnym czytaniu, bardzo ciekawych, a do tej pory przez nikogo nie wydanych „Rozmyślniach o genezie doznań estetycznych” Aleksandra Bocheńskiego, autora „Dziwów głupoty w Polsce”. Piszcie on tam, że powieść sensacyjna „pobudza nasze instynkty, jeszcze zwierzęce: najprymitywniejsze, szczególnie instynkt walki o byt, o życie — instynkt seksualny, jeszcze niezbyt wysublimowany”. Wtrąca nawiasowo uwagę, że „cecha popularnej powieści jest brak artyzmu”, a w dalszym ciągu swych rozmyślań stwierdza, że „zadowolony, jakie nam dają sensacyjne gatunki sztuki, płynnie po części z wrodzonego instynktu, który daje nam zadowolenie z rozwiązywania problemów, choćby fikcyjnych, ze znajdowania sensu, który jest ukryty”. A dalej pyta: „Czy to oznacza, że każda zagadka ma swą rolę biologiczną? Bynajmniej. Oznacza jedynie, że organizm nasz jest celowo uczulony w kierunku poszukiwania rozwiązań zagadek, nawet gdy zagadka jest nieważna. Stąd zadowolenie z znalezienia rozwiązania (...). Stąd też radość psa czy dziecka, gdy znalazło ukryty przedmiot w zabawie w chowanego. Stąd szachy, rebusy, szarady, krzyżówki. Przejawu tego

samego instynktu, który każe nam oglądać marny film lub czytać z zapartym tchem romans kryminalny.”

Książka Tyrmanda dowcipnie zagrała na dosyć podstawowych — jak się okazuje — instynktach. Jej czytelnicza kariera to kariera tematu.

Tyrmand — chyba mrucząc oko — wzmógł atrakcyjność zagadki fabularnej podekscytowaniem tajemniczości do maksimum.

Uczynił Henio Nowak przez kilkadziesiąt stron jawi się jako siła niemal metafizyczna. Aż dziwi bierze, że potem zwyczajnie mówi, zwyczajnie chodzi, zwyczajnie rozumuje. Pan Drobnik także funkcjonował raczej jak cień, dopiero potem okazuje się postacią materialną, skonkretyzowaną w koncepcji amatora detektywa, nieudolnego kudłaty, stylizowany na coś w rodzaju King-Konga czy Frankensztajna ujawnia się jako dawny oprych z Siekierki. Itd. Itp.

Konkretny problem chulihaństwa zdemontował Tyrmand do wymiarów mafii z filmu „Pod niebem Sycylii”. Maluczko, a mówiliby czytelnikowi, że chulihańskie miało swoje specjalne linie tramwajowe, specjalną centralę telefoniczną. Jest to bowiem organizacja zagrażająca istnieniu całego miasta. Na szczęście buchalter Drobnik dostał dwa miesiące urlopu i miasto ocalało.

I to jakie miasto! Gra na tej warszawskości Tyrmand, ile wlezie. Pełno tam epicko-lirycznych inwokacji: O! mody warszawskie! O! bramy warszawskie! O! warszawskie tramwaje! To „bierze” warszawskich rodaków. O nich tu się pisze! Ożywa tu ich Warszawa ze wszystkimi ważniejszymi punktami zbiorowego życia i zbiorowego zbiorzenia. Od „Smakosza” do „Canaletto”, od „Polonii” przez „Paradis” do „Kameralfnej”. Piękne, bliskie sercom tradycje...

Jednym z dalszych punktów recepty na Tyrmandowy dowcip było przeprowadzenie zabawnego dowodu, że ludzie wolą dziennikarski, niechlujny język niekontrolowanego żadnymi rygorami wielostawia od krzepkiej, dobrej polszczyzny. Więc co krok niemal szpikuje swój tekst cudenkami w tym mniej więcej stylu: „Kołanko był trochę scepty-

kiem, trochę mantyka, trochę egotystą i trochę cwaniakiem — taki cocktail charakteru wytrzymałby mocno w shakerze ostatniej wojny, nie stanowiłby żywej gleby, na której zakwita zazwyczaj opiekuńcza przyjaźń dla kilkunastoletniego chłopca” (str. 34). Albo zwięźle, plastycznie relacja tego typu: „I jedzie, jedzie, jedzie, wciśka sprzętło, hamuje, zatrzymuje się na przystankach, kręci lewarek pneumatycznych drzwi, odkręca, zamyka, włącza, naciska gaz, zmienia bieg i jedzie, jedzie, jedzie...” (str. 116). A ty, czytelniku, czytasz, czytasz, czytasz, przewracasz kartki, zapalasz papierosa, puszczasz dym, gasisz papierosa, przerucasz jedną, drugą, trzecią kartkę i czytasz, czytasz, czytasz, czytasz — jak mówi zwięźle na str. 107 powiada Tyrmand — to „obserwowanie, przypatrywanie się, gapienie, przyglądanie się innym ludziom.”

Alle Tyrmand na tym nie skończył dowcipu. Zamknął w nim jeszcze jedną pointę. Oto jedną ze scen swej powieści (mam tu na myśli rozmowę śledczą Dziarskiego z Nowakiem) powiedział mniej więcej tak: jak widzieć, mógłbym spróbować być pisarzem, jest we mnie materiał, potrafisz sięgnąć do środka problemu, zobacz chulihańską poprzecz jego sumienia, poprzez to, co w nim ludzkie; mógłbym, ale po co? bawię się z wami w powieść sensacyjną, nabieram was na eksperymentalny kawał, chcę i dowiedzieć, że wolicie ramotę, łatwież, proszę bardzo, macie czytanie na kilka wieczorów!

I ten dowcip mu się udał. Kosztowny, bo kosztowny, ale dobry żart tyfna wart. Więc i ja biję brawo.

PS. Jeden ze znajomych, któremu przed pisaniem tego felietonu wysłuszczyłem swój pogląd na dowcipny eksperyment Tyrmanda, pokiwiał powątpiewająco głową, a potem próbował mi nawet sugerować, że to nie tak, że książka jest na serio, że Tyrmand nie myślał o dowcipie. Ani przez moment nie przyjmuje tej możliwości.

Każdemu według jego potrzeb biologicznych

(Dokończenie ze str. 8)

diówka w poszukiwaniu miodu. Nie znają zupełnie rolnictwa, a polowanie i zbieractwo ma zdecydowanie drugorzędny charakter. Najważniejszymi i prawie jedynymi narzędziami tego ludu jest kamienna siekiera do rozłupywania pni zawierających roje, i lina potrzebna do wspinania się na drzewa. Pisarz francuski J. Vellard poświęcił im całą książkę, wydaną w Paryżu w 1939 r. pod zmiennym tytułem: „Une Civilisation du Miel”. Miod pszczoł Meliponidae jest od naszego mniej słodki ale smaczniejszy i bardziej aromatyczny. Według relacji wielu podróżników jest upajający czy oourzający nawet w stanie surowym.

Mówiliśmy wyżej, że samym cukrem człowiek żyć nie może, tutaj sprawa jest aż nazbyt oczywista: cukier i miód mają wprawdzie tę samą wartość kaloryczną, ale tym różnią się między sobą, że miód zawiera wszystkie składniki niezbędne dla życia pszczoły i bardzo wiele potrzebnych człowiekowi. Miód jest przecież znakomitym lekarstwem na wiele dolegliwości serca. Nie jest wykluczone, że miód amerykański jest jeszcze bogatszy od naszego w inne składniki odżywcze.

Istnieją ludy pasterskie o doskonałej kondycji fizycznej, dla których od pierwszego do ostatniego dnia życia mleko i jego produkty są głównym pożywieniem, jak to miało miejsce przed 50 laty u naszych juhasów tatrzańskich podczas letnich wypasów w górach. Lecz w naszych warunkach wyłączenie odżywiania się mlekiem wymagałoby rezygnacji z wielu smaczniejszych potraw, a poza tym jest niemożliwe z przyczyn natury gospodarczej. Na to np. aby ludność Polski żywiła się wyłącznie mlekiem na jednego obywatela musiałaby przypadać średnio jedna krowa. Podobny stosunek liczby ludności do pogłowia bydła istnieje w Irlandii i Nowej Zelandii. Ale nawet tam tylko około 1/4 kalorycznej wartości pożywienia pochodzi z mleka i jego produktów.

Jak już mówiliśmy wyżej, jednym z najważniejszych zadań higieny żywienia jest ułożenie składników pokarmowych w takich proporcjach i równowadze, by jak najbardziej zbliżyły się do tego idealnego składu pożywienia dla ludzi dorosłych, jakie przyroda przygotowała dla młodych organizmów: do mleka. Ze szczególnym naciskiem podkreślam terminy równowaga i proporcje. Jako że stałe będą się powtarzały w dalszych rozważaniach.

Higiena żywienia człowieka jest nauką młodą, ma już ogromne osiągnięcia, co nie znaczy jednak, że jest nauką skończoną. Nie wiem nawet, czy osiągnęła już połowę drogi, na pewno natomiast ma przed sobą wiele jeszcze zagadek do rozwiązania. Oto garść problemów dla przykładu, które domagają się wyjaśnienia na drodze naukowej:

Na początku mówiliśmy, że w dziedzinie potrzeb biologicznych wszyscy ludzie są równi. Ale nie ma reguły bez wyjątków. Normy ustalone przez higienę żywienia są przewidziane dla większości konsumentów. Wszyscy jednak znamy przecież ludzi otyłych, którzy przy każdej okazji gotowi są nam dowiedzieć, że ich otyłość jest jednym z największych dziwów przyrody. Czy jest ją przecież bardzo mało. I w pewnej ilości wypadków jest to naprawdę zgodne z rzeczywisto-

ścią. Są tacy, którzy przy normalnej diecie odkładają w swej kłonce wielkie zwalyszcza. Są inni, którzy muszą zużyć dwa lub trzy razy więcej pokarmów, aby usunąć dręczące uczucie głodu i są chudzi jak szczyty. Może należą to uznać za wypadki chorobliwe.

Ale nawet u ludzi zdrowych skala wytrzymałości na niedobory i nadmiary jest po prostu niewiarygodna. Niech świadczą o tym dwa przykłady, które widziałem na własne oczy, a wydają się tak niezwykłe, że po latach sam zaczynam wątpić w ich prawdziwość. Na jakimś posterunku wojskowym na Saharze Francuskiej spotkałem więźniów spośród miejscowej ludności, którzy za całe pożywienie dostawali trzy suszone daktylki dziennie, i musieli to jeszcze odpracowywać A w Afryce Wschodniej trzej Murzyni przez jedną noc zjedli całą zębrę i na drugi dzień byli żywi. Jak to wyjaśnia higiena czy fizjologia żywienia?

Smak człowieka nie jest żadnym wskaźnikiem dla racjonalnego odżywiania, prawdopodobnie dlatego, że jest silnie zdegenerowany. W klasach upośledzonych w ustrojach feudalnych i kapitalistycznych dzięki niedożywianiu, w klasach uprzywilejowanych dzięki przerafinowaniu. Wprawdzie doświadczony kłeperek herbaty albo wina potrafi nie tylko odróżnić, ale jeszcze ocenić kilkaset gatunków, natomiast jest zupełnie bezradny co jest pożyteczne a co szkodliwe dla jego zdrowia. Dr E. Pożarski, w okresie młodzieńcym profesor w Instytut d'Hygiene Alimentaire w Paryżu, wśród licznych prac wydał jedną pt. „Vingt plats qui donnent la goutte”. Dwadzieścia potraw, które są prawdziwą rozkoszą dla najbardziej wyrafinowanego podniebienia, są jednocześnie przyczyną jednej z najbardziej bolesnych dolegliwości ludzkich — podagry.

A dlaczego my wszyscy „nie znamy” jednych potraw a „przepadamy” za innymi? Dlaczego jedni uznają za pyzy, żur kujawski albo czerninę za rozkosz bogów, a inni odsuwają je ze wstrętem? Lubimy te potrawy, które jadaliśmy „jak byliśmy mali”. De gustibus non est disputandum, zgoda, ale to nie jest wyjaśnienie naukowe.

Ciekawe refleksje budzi książka prof. Dembowskiego „Psychologia małp”, opisująca m. in. szympansa zamkniętego w klatce, który dla zdobycia pożywienia potrafił nawet zrobić prymitywne narzędzie. Natomiast jeden z cytowanych tam autorów dr H. Nissen daje ciekawy opis odżywiania się szympansov na swobodzie. Mimo niezwykle bogactwa środowiska, w jakim się znajdowały — puszczy podzwrotnikowej, zachowały bardzo regularną dietę, składającą się tylko z 34 „potraw” jak: owoce, łodygi, kwiaty i liście. Możliwe, że niekiedy jadły jaja lub jakieś drobne zwierzęta, lecz tego nie stwierdzono. Jedzenie zabierało im od 3 do 6 godzin dziennie, na pierwsze dania szło zawsze to, co najbliższej łapy. Głodne bywały bardzo żarłoczne, natomiast syte bardzo wybredne. Ze swego zwykłego menu wybierały tylko najsmaczniejsze kaski, resztę rzucając na ziemię.

Zawsze jednak utrzymywały się w normach dyktowanych im przez instynkt Szympan na wolności nie robi wprawdzie narzędzi, ale jest mądry, odżywia się racjonalnie, trzyma się norm, które ułożyła dlań Matka-Przyroda, a które codziennie dyktuje mu instynkt Ten sam instynkt, który psom każe jeść łąkę, koniom liczą ziemię itd.

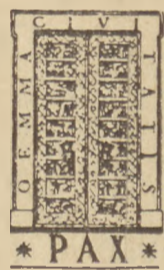
A człowiek?

„Geografia Głodu”, wstrząsająca książka prof. de Castro, mówi nam nie tylko o brakach w ilości ale również w jakości pokarmów. Mówi ona o dysproporcjach składników pożywienia, które są tragedią milionów ludzi. Pamiętajmy, że w Polsce codziennie kilka razy w ciągu dnia, około 5 milionów kobiet przygotowuje pokarmy dla całego narodu. Ułożenie najbardziej doskonałych norm to dopiero pierwszy krok w kierunku rozwiązania zagadnienia. Trzeba jeszcze rozwinąć cały szereg problemów gospodarczych i społecznych. Trzeba jeszcze wychować społeczeństwo w kierunku jak najlepszego wykorzystania posiadanych środków żywności, ku czemu socjalizm ma nieograniczone możliwości.

Cała produkcja rolnictwa, ogrodnictwa, rybołówstwa i przemysłu spożywczego z biologicznego punktu widzenia może być rozpatrywana pod kątem ilości i jakości poszczególnych składników, ich proporcji i równowagi. „Bo jakość środków żywności jest co najmniej tak ważna, jeśli nie ważniejsza, jak ich ilość. Przy układaniu norm higienista żywienia nie może bujać w obłokach, musi stąpać po ziemi czyli sięgać tylko po te środki żywności, jakie dane społeczeństwo ma do dyspozycji. Jednocześnie jednak ten sam higienista może a nawet powinien żądać od produkcji, aby uwzględniła jego postulaty.

Problemy gospodarcze i społeczne, które składają się na zaspokojenie potrzeb biologicznych ludności, a które obejmujemy pojęciem, ekonomii żywienia człowieka, będą tematem następnych artykułów. Spróbujemy w nich rozważyć zagadnienia wyżywienia ludności Polski jednocześnie w trzech płaszczyznach: społecznej, gospodarczej i biologicznej. Problematyka biologiczna bowiem nie kończy się na organizmie jednostki, lecz rzutuje z całą wyrazistością na procesy produkcji i spożycia, a nawet podziału i wymiany.

Mateusz T. Milewski



- Ks. E. Dąbrowski
DZIEJE PAWŁA Z TARSU
str. 686, cena zł 75.—
- PISMO SW NOWEGO TESTAMENTU
str. 880, cena zł 45.—
- J. Calvet
SW WINCENTY A PAULO
str. 275, cena zł 24.—
- Ks. J. Czuj
KAZANIA
str. 220, cena zł 25.—
- Sw. Hieronim
LISTY
t. I/III, str. XXII + 311 + 292 + 307
cena zł 34.— za 1 t.
- A. Rogalski
KOSCIOŁ KATOLICKI NA ŚLASKU
str. 288, cena zł 25.—
- Ks. E. Dąbrowski
GLOSSY I ODKRYCIA BIBLIJNE
str. 264, cena zł 25.—
- Ks. E. Dąbrowski
PROLEGOMENA DO NOWEGO
TESTAMENTU
str. 257, cena zł 20.—
- Th. Deman
CHRYSTUS PAN I SOKRATES
str. XX + 234, cena zł 30.—
- J. Dobraczyński
JEZUS CHRYSTUS
I JEGO APOSTOŁOWIE
str. 301, cena zł 15.—
- J. Dobraczyński
MANN A CHLEB
str. 232, cena zł 20.—

Wysłać Biuro Sprzedaży „PAX” Warszawa, Mokotowska 43 za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W-wa 1-14-14317 Sp. Wyd. „Pax” — Instytut Wydawniczy w Warszawie. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3.— na koszt przesyłki. Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritas” i Woj. Oddziałach „Słowa Powszechnego”.

DZIS I JUTRO

Z powołaniem Stanisław Grochowiak

PRZYPADK pierwszy: Na drzwiach gabinetu lekarskiego przychoini rejonowej wywieszka: Dr X przyjmuje od g. 16 do 20. Przed arazami — ogonek pacjentów. Szczęśliwi posiadacze pierwszych numerów wstąpi do upośledzonej, wyszła z domu o szóstej, stanęła w kolejce o wpół do siódmej, by otrzymać numerkę o siódmej. Jak na ludzi chorych — co prawda nie obłożnie, ale bądź co bądź chorych — nieźle. Niektórzy mieli dodatkowe kłopoty z przepustką w zakładzie pracy, z dzieckiem, które trzeba było porzucić sąsiadce itp. Ale teraz stoją — bo nie ma krzesel — zadowoleni, że trud się opłacił, spogądając z wyśzością na kolegiów po chorobie z 15 czy 25 numerkiem. Czwartą. Zaraz zjawi się lekarz.

Zjawia się dziesiąty po czwartej. Cóż. Spóźnienie w granicach normy. Tłum się cisnie. Lekarz mówi: — Zaraz, zaraz — i znika w gabinecie. Mija pięć minut. Pierwszy pacjent puka nieśmiało. St-

absolwentów medycyny. Przeglądając dziennik wyjazdów, absolwent A. zauważa, że od dłuższego czasu najwięcej zaważan jest w czasie wyjazdu felczera B. W tym momencie dzwoni telefon: — Prosimy przyjechać do takiego a takiego przypadku, poza jakim a takim adresem. — Dobrze, zaraz pojedziemy. — Ale... story to pan doktor? Czy B.? — Nie, A. — To może... nie warto przyjeżdżać... choremu już lepiej. Zaintrygowany A. pyta lekarzy, sanitariuszy i pielęgniarek, co to wszystko ma znaczyć. Nikt nie chce powiedzieć, ale wszyscy uśmiechają się dwuznacznie. Dopiero jeden z kierowników, który ma na piensku z felczere, popełnia niedyskrecję: — To doktor nie wie? Wszyscy wzywają felczera B., bo on na każde głupstwo daje morfinę i obiecuje, że jak przyjdą do niego prywatnie, to im zastrzyknie znowu. — Niestety, kolego, to prawda, potwierdza te informacje urzędnik z Wydziału Zdrowia. Wiemy o tym, ale co mamy począć? Chce-

potrzeby (i bez skrzywienia) nie jest już takim wyjątkiem. A już sprawą całkiem potoczną jest np. przydzielanie lepszych miejsc w szpitalu, posyłanie do lepszych uzdrowisk, dawanie dłuższych zwolnień od pracy — wszelkiego rodzaju kumotrom. Któż z nas nie zgryzał zębami na widok różnych dyrektorowych, posłowych i redaktorowych naczelnych, uchodzących do gabinetów poza kolejką. I to jeszcze — z jaką miną!

Więc co począć z tą nieuchwytnością?

Z mojego gabinetu w szpitalu C..., gdzie pracowałem przed laty wyrwał mnie ryk. Krzykiem w szpitalu nikt się nie przejmuje (szanujemy ciszę), ale na odgłos ryku wypadłem na korytarz, gdzie zobaczyłem... na jednym końcu kierownika lecznictwa, na drugim — palacza Kierownik miał pianę na ustach i ryczał: — Wom mi stąd! Dość tego! Palacz! Palacz! Chodziło o to, że palacz, który

był jednocześnie sekretarzem POP — zanadto się przejął tą godnością. Zaczął od zwracania lekarzom uwagi, że adwokaci, rejenci i inni profesowowie idą z reguły do separataki, a robotnicy na salę ogólną, skończył zaś na udzielaniu raa, którego chorego należy upierw oparować, którego wypisać, jakie stosować zabiegi itp. słowem — przewrócił mu się w głowie.

Sądząc, że ów palacz i paruset podobnych nadgorliwców sprowadziło swą działalnością skutk przeciwny od zamierzonego: spowodowało upadek powagi instytucji, która dziesięć lat temu nazywała się „czynnikami społecznymi”. Wówczas, przy podejmowaniu ważniejszych decyzji lekarskich, w szczególności zaś gdy chodziło o dłuższe zwolnienia od pracy, obecni byli partyjni lub bezpartyjni przedstawiciele opinii społecznej. Ta obecność gwarantowała większą bezstronność decyzji fachowców. Należy się zastanowić, czy dobrze jest, że ten zyczaj stopniowo zanika? Zapewne, że jego stosowanie miało w sobie coś upokarzającego dla lekarzy. oznaczo po prostu brak zaufania, władz do ich uczciwości. Zapewne, że powinniśmy iść w kierunku nie rozbudowy, lecz likwidacji aparatu zbędnej kontroli. Zachodzi tylko pytanie, czy kontrola rzeczywistości jest zbędna, czy dojrzelśmy do tego, by polegać na własnej uczciwości.

Wydaje mi się, że nie zawsze. Że kryzys nadużyć nie wykazuje u nas tendencji zniżkowej. Być może, że z nadużyciami jest podobnie, jak z tym słynnym już mięsem, o które jest coraz trudniej dlatego, że go coraz więcej zjadamy. Być może, że kryzysa przestępstwa istotnie maleje, ale jednocześnie nasze wymagania wzrastają. Zostaje jednak fakt niezaspokojonego popytu na szynkę, względnie uczciwość. Trzeba ci ra: więcej wymagać w tym sensie, w którym trzeba narzekać, tzn. no to, by dopięgować produkcję. Jeżeli bisurmanistwo — czy jeśli ktoś woli chuliganistwo pacjentów — nie ustępuje mimo łagodnych upomnień — to trzeba bić pałką. Ale chcąc karać jednych nie można patrzeć przez palce na swawole drugich. Szynka działa tylko wtedy, kiedy gwint równomiernie dociska.

miej reszcy ludzi, którzy by pragnęli poznać jego twórczość.

Z powołaniem Henryk Hrynaskiewicz Świebodzin Wikip.

Jak się dowiadujemy, w roku bieżącym mają ukazać się następujące pozycje książkowe Jerzego Zawieyskiego: „Dramaty greckie” (PIW), zbiór opowiadań (Pallotinum), tom prozy poetyckiej oraz wzniewienie przedwojennej powieści „Gdzie jesteś przyjacielu?” (Czytelnik). Ponadto teatry mają podobno wystawić jedną z nowych sztuk Zawieyskiego. Wydaje się, że w pewnym — z pewnością niewystarczającym — stopniu zaspokoił pragnienia czytelników „Drogi do domu” i „Rozdroża miłości”.

Redakcja

W sprawie zamasytego kufra

Jest rzeczą powszechnie znaną, że manuskrypty wielkich strategów mylono z graficznymi planami bitew, co miało podobno wpływ na bieg historii. Wynikało to z pośpiechu i gorącego czasu walki. Dlatego w sztabach trzymano specjalnych ekspertów grafologów. Obecnie ekspertów, w sztabach zastąpił radiotelegrafista, a specjalist od trudnego pisma znalazł przytułek w redakcjach czasopism, gdzie odczytywali zasyfrowane rękopisy reporterów, którzy jak władno, lubią pisać w pierwszej linii na bębnie i niechujnie. Niestety, przysyłając nam reportaż „Okrażenie” przeliczyłem się Najlepsi Wasi eksperci nie odnieśli doń najlepiej klucza. Wobec czego pozwałam sobie dołączyć kilka wyjaśnień:

Z powołaniem Jacek Łukasiewicz

Do Redakcji „Dziś i Jutro”

W związku z błędnie wydrukowanym wierszem „Tramwaj Wszystkich Świątecznych” w numerze 4 (534) „Dziś i Jutro”, proszę o opublikowanie tekstu z korekturą tego wiersza, który brzmi:
Tramwaj żwony ludzi płacą
Płędziesiąt groszy od osoby
Umarli leżą sztywno w próbach
Z drzew od niebiosów zdjęto łancuch.
Bo gdzie tramwaj Wszystkich Świątecznych

Zaznaczam również, że w podanym przeze mnie do Redakcji manuskrypcie pierwsze osiem wersów tworzyły dwa odrębne czterowiersze. Są to drobniaki, ale dla autora wiersza bardzo istotne.

Z powołaniem Stanisław Grochowiak

Zdjąć termofor - dać lód

JERZY STADNICKI

chac znów gniewny pomruk: — Zaraz, zaraz — jakos zniekształcony, zapewne grubością arzywi. Uptywa jeszcze pięć minut. Tymczasem pojawia się nowa pacjentka, bardzo wytworna i pogaraliwa osoba, która nie zwalając na protesty ogonkowców puka wpierscioną pastką: — Panie doktorze, na jedną sekundę, to ja! Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej arzywi uchyla się, niedosć szeroko, by ktoś poza damą w pierścieniach mógł się wliźnąć do sanktuarium, ale wystarczająco, by najbliższej stojącej dostrzegła bulkę z szynką w ręku kapłana i ogromną fiaszkę z kakao na otarzu medycyny uspołecznionej.

Przypadek drugi: Lato, ferie, studenci meacyjny przybyli do rodzimych miasteczek. Między doktorem Y a studentem Z staje układ: — Kiedy będzie tępy dyżur w szpitalu, będziecie mnie zastępować, to nie trudnego, zrodzić wieczorny oochód, jak który chory będzie bardzo żęczał, to każecie mu dać nowalginę, zobaczycie trochę ciekawych przypaoków i zarobicie 100 złotych, a ja zarobię coś we własnym łóżku i wizyty prywatne.

Po miesiącu — nowelizacja układu: — Widzę, że się dobrze orientujecie, moglibyście wziąć i ostre dyżury za 150 złotych. — Ale czy potrafię? — Nic się nie bójcie, będę pod telefonem.
Pod koniec drugiego miesiąca, o drugiej w nocy — telefon: — Panie doktorze, proszę przyjechać. — A co tam? — Zdaję się, że zapalenie otrzewnej. — Okład z lodu na brzuch, będę za pół godziny. — Po pół godzinie: — Panie doktorze, tętno nitkowane. — Dalsie termofor? — Dalem, ale bole o ogromnie się wzmożył i prawa noga drętwieje. — To głuپیe wyrostka nie umiecie rozpoznać? W tej chwili zdejmacie termofor, dajcie lód, myć się do operacji, będę za pół godzinę...

Przypadek trzeci: Pogotowie zatrudnia kilku lekarzy, felczera i

usunąć B. z pogotowia, musielibysmy dać na jego miejsce kogos innego. A ludzi orak. Zresztą B. jest stary i już nieatogo będzie morfijnizował nasze miaso.

To są przypaoki — oczywiście nie typowe, ale również nie wyjątkowe — to są przypaoki, na które parzyłem, w których uczestniczyłem, które cytując moimym zasiępc A. X, albo Y — nazwiłkiam, miejscowości i datą, to są przykiazia na odwrótną stronę zjawiska, które określam niedawno *) jako rozbiurmanianie pacjentów, i które moziuu by nazwać rozoisurmanianiem pracowników służby zarowia. Mentalność pacjenta, wzywającego pogotowie do bólu głowy niczym się nie różni od mentalności lekarza, traktującego swój gabinet lub szpital jako kramik handlu morfina. I jeżeli proponujemy zaostrezenie kursu względem bisurmaniskich pacjentów, to nie możemy żądać jego złagodzenia w stosunku do bisurmaniskich lekarzy. Wspólna jest geneza obu tych schorzeń społecznych, wspólna terapia, którą należy je leczyć, wspólna też truaność w leczeniu: nieuchwytność zjawiska. Istotnie, gabinet lekarski jest i musi być otoczony tajemnicą zawodową. Poza tym zarowie, ciurorba, potrzeba lekarstwa, jego dawka — to rzeczy ogromnie względne. Jak udowodnić, że pacjent potrzebuje do wyzdrowienia akurat trzech, a nie czterech dni zwolnienia, akurat miliona dwustu, a nie miliona pięciuset jednostek penicyliny? Lekarz może świetnie przepisać morfinę narkomanowi, wiedząc, że to narkoman, sanitariuszowi wytłumaczyć, że ten ból z prawej strony wydawał mu się podejrzanym, a na zajutrz zainkasować 500 zł w kopcercie. Może to nawet zrobić z prawie czystym sumieniem, bo narkoman potrzebuje narkotyku, aby żyć i pracować, a z drugiej strony — nie ma przepisu zabraniającego dawania i przyjmowania prezentów. Oczywiście, lekarz świadomie morfinizujący społeczeństwo jest na pewno całkiem wyjątkowym zbrodniarzem. Ale uprzywilejowanie pacjentów prywatnych w lecznictwie uspołecznionym, przepisywanie im większej dawki leku bez specjalnej

*) „Dziś i Jutro” Nr 3

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze

W nr. 9 (535) Waszego tygodnika ukazał się mój artykuł pt. „Impresje bulgarskie”. Po przeczytaniu ogarnęło mnie, przynajmniej uczucie zaleczeni. Skróty artykułu powzięnie go zniekształciły, zmieniając niejednokrotnie nie tylko jego myśl, ale i pozbawiając niektóre fragmenty wręcz sensu. Rozumiem, „olówek” redaktora może i powinien niejednokrotnie działać, ale wydaje mi się, że w tym wypadku należało porozumieć się z autorem artykułu.
Moim zdaniem uległy skróceniu fragmenty bardzo istotne i charakterystyczne, jak wyliczenie ilości i różnorodności imprez artystycznych w Sofii, ocena sofijskiej opery (b. aktualna przez porównanie z Polską) itp., a już skrócenie połowy zdania, równoznaczne z przecięciem myśli stworzyło akapit bez sensu (szpalta 4, zakończenie akapitu ze str. 3). Wydrukowane zdanie brzmia: „B. okreś-

kim obecnym, a ja — nie wiedzząc, że p. Drodzowski opowiadał swój już napisany i wysłany „Twórczości” wiersz — postanowiłem opracować go na swój sposób. To był — przynajmniej — mój błąd, za który chciałbym przeprosić i p. Drodzowski i Redakcję „Dziś i Jutro”.

Pozostaje w skrzusze Andrzej Brycht

Do Redakcji „Dziś i Jutro”

W numerze 50 (524) „Dziś i Jutro” Konrad Eberhardt w artykule pt. „Współczesność w poetyckim kostiumie” omawia twórczość dramatyczną Jerzego Zawieyskiego. Z treści tego artykułu wynika, że twórczość ta rozwija się pomysłnie, czego dowodem są nowe dramaty. Otóż chciałbym zabrać głos w sprawie publikowania dorobku Jerzego Zawieyskiego. Już prędko chyba będzie dziesiąta rocznica od wydania ostatniej jego książki. Ostatnio były publikowane zapowiedzi wydawnicze różnych wydawnictw: nazwisko Zawieyskiego tam nie figurowało. Pisze się w prasie kulturalnej, że Zawieyski to czołowy dramaturg współczesny. Dlaczego przeto od kilku lat zupełnie niemal nie publikuje swoich utworów w prasie, dlaczego też wydawnictwa nie wydają jego książek? Kto dzisiaj zna Zawieyskiego? A wiem, że warto go poznać, choćby dla drukowanego w „Nowej Kulturze” opowiadania „Odwiedziny Prezydenta”. Myślę, że niewydawanie książek Zawieyskiego jest wielką krzywdą dla autora (dla siebie chyba nie pisze?) i dla obrzy-

Regulacje Zespół Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartałna 12 zł Adres Redakcji i Administracji Mokolowska 43 tel. 6-01-1 (15) Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wkleśodrukowe RSW „Prasa W wa Marszałkowska 15 B-7-23244 Zam. nr 556.

Każdemu według jego potrzeb biologicznych

Primum vivere deinde philosophari

CZŁOWIEK aby żyć musi oddychać, odżywiać się i utrzymywać normalną temperaturę ciała. Człowiek aby jesc musi pracować, żeby pracować musi jeść. Takie jest życie. Prawda jak świat stara, niezmienna, odkąd istnieje ludzkość. Tylko powietrze do oddychania otrzymuje człowiek od przyrody darmo i bez wysiłku. Zaspokojenie wszystkich innych potrzeb stanowi przedmiot mniej albo więcej złożonej polityki gospodarczej i społecznej, na wszystkich szczeblach rozwoju społeczeństwa. W naszym klimacie mieszkanie i ubranie należy do najważniejszych potrzeb ludzkich. Dwa zagażenia gospodarcze i społeczne, posiadające odrębną i ciekawą problematykę. Nie o nich jednak będziemy tutaj mówić. Pod pojęciem potrzeb biologicznych będziemy rozumieli problematykę wyżywienia, zagadnienie dotyczące codziennie każdego człowieka, którego rozwiązanie znajduje się w jego rękach.

Żyjemy w niezwykłej epoce: w tym samym czasie na tej samej planecie jedne grupy społeczne żyją jeszcze w epoce kamienia łupanego, a inne zmieniają koryta wielkich rzek i budują elektrownie atomowe. Owe strzępy historii, żywe relikty rozwoju społecznego, pozwalają nam również obserwować ewolucję gospodarki wyżywieniowej. Od zarania dziejów aż po dzień dzisiejszy rodzina stanowi najważniejszą komórkę społeczną, w której odbywa się wspaniałe misterium, decydujące o losach całego rodzaju ludzkiego: proces reprodukcji — naroznienie i wychowanie nowego pokolenia. W pierwszym stadium rozwoju zdobycie pożywienia zamyka się w granicach mniejszych grup społecznych: kilku czy kilkunastu rodzin. Dopiero potem przychodzi podział pracy i wymiana. Od czasu gdy człowiek poznał już trochę przyrodę, nauczył się przetworzyć produkty, podjął świadomą działalność gospodarczą, zaczął nawet planować swoje wyżywienie na dzień, na tydzień, potem na coraz dłuższe okresy czasu, zawsze jednak w ramach rodziny. Bardzo wczesnie pojawiają się przeciw pierwsze organizacje żywienia zbiorowego: w kongregacjach religijnych, na statkach morskich, w siłach zbrojnych itd. Ale zasadniczo we wszystkich ustrojach społecznych przed socjalizmem rodzina stanowi zawsze najmniejszą grupę konsumentów.

Dopiero socjalizm wprowadza rewolucyjną zmianę zarówno w metodach produkcji jak podziału i spożycia środków żywności. Już nie rodzina ale cały naród stanowi równouprawnioną grupę konsumentów. Od planowania w ramach rodziny przechodzimy do planowania w skali państwowej. Ale trzeba sobie z góry powiedzieć, że w naszym przypadku zagadnienie nie jest łatwe do rozwiązania. Musimy zawsze pamiętać, że Polska za 20 lat będzie liczyła ok. 40 milionów ludności, czyli mniej więcej tyle ile Francja przez całą pierwszą połowę XX w. Wyżywienie statycznej liczby ludności w takim kraju jak Francja nie nastarcza większych trudności, nawet w ustroju kapitalistycznym. Natomiast wyżywienie ludności polskiej, przy takiej dynamice przyrostu naturalnego i takich przemianach struktury społecznej, z których odzyskuje siłę robotniczych ze wsi do miasta jest zjawiskiem najważniejszym, to zagadnienie skomplikowane nawet w ustroju socjalistycznym.

W dziedzinie produkcji i wymiany mamy do zanotowania szereg

pomyślnych faktów: Uchwała Rady Ministrów o zmianie metod planowania w rolnictwie i o nowej organizacji handlu, a ostatnio Uchwała V Plenum KC PZPR o rozwoju rolnictwa w nowej 5-letce. Dyskusja na temat stopy życiowej toczy się na łamach prasy codziennej, społecznej, gospodarczej a nawet kulturalnej. Stan wyżywienia ludności jest najbardziej podstawowym miernikiem stopy życiowej. Ale ten

ka. Regulują je jak mówiliśmy prawa przyrody.

W dziedzinie potrzeb biologicznych rola człowieka ogranicza się wyłącznie do poznania, zrozumienia i dostosowania do nich swojej polityki gospodarczej i społecznej. Przyrodą jest tutaj dyktatorem bezwzględny. I stąd inna odrębna cecha potrzeb naturalnych: domagają się one nieustannie zaspokojenia, przez całe życie i to w takich

naukowców, jacy przez swoje prace w takich dziedzinach jak: przemiana materii, trawienie, wartość odżywcza pokarmów, biologia a nawet publikacje na temat walki z alkoholizmem, wnieśli swój pozytywny wkład do nauki o żywieniu człowieka. I od tego „kongresu” poczynając omówili dalszy rozwój tej nowej gałęzi wiedzy. Nie miejsce tu aby go powtarzać w całości. Nie możemy również robić wy-

Energetyczną wartość pokarmów oznacza się przy pomocy jednostek miary ciepła, czyli tzw. wielkich kalorii. Jedna Kal. to ilość ciepła, potrzebna do podniesienia temperatury 1 kg wody o 1 stopień C. Dzielnie zapotrzebowanie człowieka dorosłego i średnio ciężko pracującego wynosi około 3.000 Kal. Człowiek bardzo ciężko pracujący potrzebuje czasami 5.000 a nawet 6.000 Kal. Wartość kaloryczną pokarmów mie-

Kal. a wartość jednego kg cukru, który jest czystym węglowodanem, 4.000 Kal. to 3/4 kg cukru mogłoby stanowić wystarczającą rację dzienną dla utrzymania człowieka przy życiu. Gdybyśmy mogli odżywiać się wyłącznie cukrem dla całej ludzkości Polski wystarczyłoby uprawianie tylko ok. 2,5 miliona buraków czyli 1/8 powierzchni użytków rolnych w Polsce. Cała nasza ziemia mogłaby z satysfakcją wyżywić 200 milionów ludzi. Niestety to jest niemożliwe ze względów biologicznych. Cukier jako wyjątkowy pokarm nie mogłoby zaspokoić wszystkich potrzeb organizmu przede wszystkim dlatego, że jest paliwem „czystym”, że jest pozbawiony zupełnie składników budulcowych, regulujących i ocalonych.

Przejdźmy teraz do pozostałych składników pożywienia. Tłuszcze są jakby produktem dalszej przemiany materii węglowodanów i występują w protoplazmie wszystkich żywych komórek. Jest to pożywiennie zapasowe, magazynowane u roślin głównie w nasionach i owocach, u człowieka i zwierząt w specjalnej tkance tłuszczowej. Oleje roślinne, smalec i masło topione prawie nie zawierają innych składników pożywienia, są prawie tak czystymi tłuszczami jak cukier czystym węglowodanem. Tłuszcze posiadają tę zaletę, że są najbardziej skoncentrowanym „paliwem”, a więc pozwalają podnieść kaloryczną wartość pożywienia bez zwiększenia jego objętości, ale nadmierna ich ilość jest niepożądana dla organizmu.

Tylko pewna część naszego pożywienia jest składnikiem budulcowym: przede wszystkim białko na zastępowanie tkanek zużytych w organizmach dojrzających i dla budowy nowych tkanek w organizmach młodych i rosnących. W naszym klimacie spalanie białka jest nieekonomicznym wykorzystaniem pokarmów, co wyjaśnią w następnym artykule. Ważnym składnikiem budulcowym są również sole mineralne, przede wszystkim wapniowe, z których zbudowany jest cały system kostny.

Odkrycie witamin, jedna ze zdobyczy nauki o żywieniu, której m. in. dokonał nasz rodak dr Kazimierz Funk, i nadał im tę nazwę, wywołało olbrzymie zainteresowanie, niejednokrotnie doprowadzające do przeceniania ich roli. Jeżeli organizm nasz potrzebuje pewnej określonej ilości witamin, nie znaczy to np. że przez podwojenie tej ilości podniesiemy dwukrotnie wartość pokarmu. Organizm nasz potrzebuje tylko tyle... ile potrzebuje, i nie więcej.

Z drugiej strony wartość witamin jest często niedoceniana. Wiadomo przecież, że w zbożu i ziemiakach witaminy znajdują się w największych ilościach, bezpośrednio pod skórką. Otóż we wszystkich krajach gdzie te dwa płody rolne są podstawą żywienia, ludność spożywa głównie skrobię, a najcenniejsze składniki, to znaczy otręby i obierki, zjadają świnie. Wprawdzie później my zjadamy wiewiórki, ale czy jest to racjonalna gospodarka witaminami? Mam poważne wątpliwości.

Ostatnia zdobycz higieny żywienia to mikroelementy. Spośród wszystkich najbardziej znane jest działanie jodu. PWRiL wydały już na ten temat trzy prace prof. A. Maskimowa, z których jedna jest popularna.

Ogółem istnieje około 60 składników pożywienia, które mogą być wykorzystane przez nasz organizm, z czego około 40 jest niezbędnych dla jego normalnego życia i rozwoju. Ciągłe jednak przybývają nowe: witamina B12, kwas foliowy, fluor i inne, o nazwach znanych tylko specjalistom.

Raz jeszcze podkreślę, że nie należy mylić norm i pokarmów. To znaczy: dla ściśle określonych norm można uzyskać niezliczoną ilość składników pokarmowych. Albo jeszcze inaczej: sławne ongiś 365 obiadów pani Cwerciakiewiczowej można by dzisiaj zjadać i stwierdzić w jakim stopniu zgodne są z normami opracowanymi przez higienę żywienia, ewentualnie zmienić czy uzupełnić. Na całej kuli ziemskiej istnieje ogromna ilość ludów i narodów na różnych szczeblach rozwoju społecznego, które żyją w różnych środowiskach geograficznych, dostarczających im niezwykle różnorodnych środków żywności. Dość wymienić Eskimosów, których dieta składa się głównie z mięsa i tłuszczu zwierzęcego, szczególnie w zimie. Sieroszewski w swej książce: „12 lat wśród Jakutów” pisze, że filiżanka gorącego masła topionego stawia tam człowieka na nogi jak u nas butelka wina.

W Ameryce Płd. żyje koczownicze plemię indiańskie Guajaków, stojące na najniższym szczeblu cywilizacji, którego podstawowym pożywieniem jest miód. Przede wszystkim pszczoł miejscowych, bez żądai (Meliponidae), potem zdliczających pszczoł europejskich wprowadzonych przez Jeżuitów i w najniższym stopniu miód pewnych gatunków os. Ich życie to nieustanna wę-

Jeżeli przyjmujemy, że średnie dzienne zapotrzebowanie paliwa dla organizmu ludzkiego wynosi 3.000



Człowiek potrafi zdobyć swoje pożywienie nie tylko w gorącym i wilgotnym klimacie Ceylonu

stan nie zależy wyłącznie od ilości wyprodukowanych środków żywności i od ich dystrybucji, ale również od sposobu w jaki te środki są pozyskiwane i wykorzystane.

Pojęcie stopy życiowej nie ogranicza się oczywiście wyłącznie do jedzenia. Od zaspokojenia tej potrzeby jednak zależy biologiczna a pośrednio i duchowa teźna narodu. I dlatego warto może od czasu do czasu poświęcić tym potrzebom trochę uwagi, choćby się mówiło rzeczy tak oczywiste, że graniczące niemal z truizmem. Les extremités se touchent, więc między truizmem i tabu, na które piorunuje de Castro, może istnieć bardzo subtelne powinowactwo.

Potrzeby biologiczne różnią się w sposób zasadniczy od wszystkich innych potrzeb ludzkich, zarówno materialnych jak kulturalnych i duchowych, przede wszystkim tym, że są jakby to można powiedzieć, najbardziej demokratyczne. W dziedzinie innych potrzeb każdy z nas ma inne dążenia i aspiracje, uzależnione od jego indywidualności i niezależnych czynników pobocznych, jak środowisko, tradycje, wykształcenie, poziom materialny i umysłowy itd. Natomiast potrzeby biologiczne są jednakowe dla nas wszystkich bo dyktowane przez prawa przyrody a nie prawa człowieka.

W dziedzinie potrzeb biologicznych wszyscy ludzie są absolutnie równi. Z naukowego punktu widzenia nie istnieją tu żadne różnice rasowe ani klasowe. Każdy z nas, tak jak musi odetchnąć odpowiednią ilość razy na minutę, tak samo musi przyjąć odpowiednią ilość pokarmów na dobę jeśli ma normalnie żyć, a jednostka i grupa społeczna nie ulegać degeneracji. Różnice wynikają jedynie z wieku, rodzaju wykonywanej pracy i pici osobni-

odstępach czasu jakie dyktuje przyroda. Człowiek bez szkody dla zdrowia nie może sobie pozwolić na żadne większe odstępstwa a już szczególnie nie może odkładać ich zaspokojenia „na później”, co jest możliwe dla wszystkich innych potrzeb ludzkich.

We wszystkich dziedzinach życia postęp cywilizacji, rozwój społeczny i kulturalny, zmiana obyczajów i gustów, a w bardzo wysokim stopniu nawet moda stawiają co dnia inne wymagania, rodzą nowe pragnienia, kaprysy czy zachcianki. Nie było, nie ma i prawdopodobnie nie będzie na świecie ekonomisty, który by próbował np. ustalić normy zapotrzebowania jednostki na tysiące przedmiotów codziennego użytku, jak chociażby mydło, książki a już szczególnie damską garderobę. Wszystkie te potrzeby są zmieniane nieograniczone a ich normy niemożliwe do określenia ani przewidzenia na dalszą przyszłość.

W tym miejscu konieczna jest pewna uwaga. Nie należy potrzeb mylić z pokarmami, które ulegają nieustannej chociaż powolnej ewolucji. Powolnej, bo człowiek w dziedzinie pożywienia jest bodaj największym konserwatystą. Prawdopodobnie z przyczyn natury fizjologicznej. Mamy na ten temat doskonałą książkę prof. A. Maurizio „Pożywienie roślinne i rolnictwo” (W-wa 1926), która była tłumaczona na kilka języków. Tutaj wystarczy wspomnieć, że na historycznej uczcie u Wierzyńka, za czasów Kazimierza Wielkiego, nie było kawy, herbaty, cukru, pomarańcz, cytryn, pomidorów, kartofli i woszczyzny, którą jak sama nazwa wskazuje wprowadziła dopiero królowa Bona. Zmieniają się pokarmy, natomiast nie zmieniają się potrzeby biologiczne.

Istnieją trzy cechy, które nadają im zupełnie specyficzny charakter: potrzeby te są stałe, ograniczone i wymierne. Przed stu laty nie było zupełnie zapotrzebowania na żarówkę elektryczną, samochody, benzynę, bilety do kina itp. Fantazja ludzka jest niestety zbyt uboga aby przewidzieć co w dziedzinie potrzeb materialnych, kulturalnych i duchowych uzna za nieodzowne człowiek z roku 2056. Z całą natomiast pewnością można stwierdzić, że potrzeby biologiczne sprzed stu lat, obecnie i za sto lat od dnia dzisiejszego, były, są i będą takie same, lub prawie takie same.

Istnieje specjalna dziedzina wiedzy: higiena żywienia człowieka, której jednym z zadań jest właśnie ustalenie norm wyżywienia. Ze społecznego i gospodarczego punktu widzenia jest to zadanie jedno z najważniejszych, ponieważ stanowi realną podstawę do planowania wyżywienia całej ludzkości kraju. Dla Polski zrobił to prof. A. Szczygieł ze swymi współpracownikami (patrz „Żywienie Zbiorowe” nr 6/1950).

Higiena żywienia człowieka jest nauką młodą. Ciekawy rzut retrospektywny na jej dzieje znajdujemy w czasopiśmie: „Journal of the American Dietetic Association” z września 1948 r. w artykule „A Century of Progress in Nutrition”. Autorzy artykułu wpadli na oryginalny pomysł: z okazji „Wiosny Ludów” w Europie zwołali fikcyjny kongres w 1848 r., na który zaprosili wszystkich żyjących wówczas

kladu o racjonalnym odżywianiu. Istnieje na ten temat dość obszerna literatura zarówno naukowa jak popularna, i to dla różnego poziomu czytelników. W najbliższym czasie wyjdzie z druku źródłowa praca prof. A. Szczygła pt. „Podstawy fizjologii żywienia”. Dla uzasadnienia jednak dalszych tez i postulatów konieczne jest przytoczenie choć w najkrótszej formie, co nauka żywienia osiągnęła od czasu tego fikcyjnego „kongresu” do dnia dzisiejszego.

Przez porównanie człowieka do maszyny, wykonującej pewną ilość pracy, dzięki energii uzyskanej

rzmy przez spalanie ich w tlenie i mierzenie uzyskanego ciepła. Eskimosi nie robią wprawdzie doświadczeń z mierzeniem kaloryczności pokarmów, lecz życie daje im niezwykle plastyczny przykład praktyczny: ten sam tłuszcz wielorybi używają do jedzenia, na opał i do oświetlania swoich igloo.

Poszczególne składniki pożywienia dają następujące ilości energii na 1 gram substancji spalanej w naszym organizmie: węglowodany i białka ok. 4 Kal., tłuszcze ok. 9 Kal.

Porównanie organizmu ludzkiego do maszyny jest o tyle śluzne, że



Człowiek jest istotą żywą, która się rozwija i zmienia

przez spalanie określonej ilości pokarmów w naszym organizmie, wliczono najpierw ilość „paliwa” niezbędną dla utrzymania normalnej temperatury ciała i uzyskania energii potrzebnej dla pracy naszych mięśni oraz organów wewnętrznych jak serce, płuca, przewód pokarmowy itd.

Jaka część pokarmów idzie na wykonanie pracy a jaka na wytworzenie ciepła to sprawa jeszcze nie całkiem wyjaśniona. Niech to zilustruje następujący przykład: Eskimosi nawet lalki zaszywają w futra, natomiast wszyscy podróżnicy, którzy byli na Ziemi Ognistej, stwierdzają zgodnie, że tamtejsi Indianie (dzisiaj wymarli) wykazywali niezwykłą odporność na zimno. Podczas gdy ciepło ubrani przybysze zaczęli zębami, miejscowa ludność chodziła nago i czuła się znakomicie. Darwin widział ich w swej podróży dokoła świata (1832), i opisuje jak padający śnieg tajał na nagim ciele noworodka i piersi matki, która podeszła do ich statku. Jak to wyjaśnia fizjologia czy też higiena żywienia człowieka?

w obydwu wypadkach obowiązuje prawo zachowania energii, ale o tyle nieścisłe, że człowiek jest istotą żywą, która się rozwija i zmienia, a przede wszystkim rośnie, więc musi w pożywieniu otrzymywać nie tylko składniki energetyczne, lecz również budulcowe i regulujące czynności organizmu.

Największą część pokarmów stanowią jednak składniki energetyczne, czyli węglowodany i tłuszcze. Węglowodany są związkami węgla z wodorem i tlenem. Tworzą się w komórkach roślin zielonych z rozkładu wody na tlen i wodór i syntezie tych pierwiastków z węglem czerpanym z powietrza. Do najważniejszych węglowodanów należą: skrobią, podstawowy składnik zbóż i ziemniaków, różnego rodzaju cukry występujące w burakach, trzcinie cukrowej i owocach, laktoza w mleku itd. Węglowodany mogą być w dużym stopniu zastępowane jedne przez drugie, bez szkody dla naszego ustroju.

Jeżeli przyjmujemy, że średnie dzienne zapotrzebowanie paliwa dla organizmu ludzkiego wynosi 3.000



Środowisko geograficzne dostarcza niezliczonej ilości rodzajów pożywienia